NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów. ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 19 sierpnia 1916. Nr. 34

Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie.



Treść numeru: Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie. — Samorządna Warszawa. — Rocznica wkroczenia Legionów do Królestwa. — Marszałek Hindenburg we Lwowie. — Na wschodnim froncie bojowym. — Ofenzywa włoska i t. d.

Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie.

Historya ma swoje chwile odwetu. Widownią jednej z takich chwil odwetu historyi była w dniu 5. bieżącego miesiąca Warszawa. Na tych samych stokach cytadeli warszawskiej, gdzie przeszło pół wieku temu stracono publicznie członków powstańczego polskiego Rządu Narodowego — równie publicznie uczczono bohaterów powstania. I podczas gdy ślady stuletniego przeszło panowania carów nad Polską zniknęły gruntownie w całej Warszawie i w całym kraju — u stóp tej cytadeli, która była widomym symbolem minionej w tym kraju potęgi caratu, lud Warszawy wznosił okrzyki na cześć niepodległości Polski, dla której ciosem śmiertelnym miało być stracenie tych Pięciu, nieśmiertelnych przez męczeństwo. Nemezis dziejowa wzniosła tu głos gromki po latach wielu...

Do obchodu tego uroczystego dnia czci dla przeszłości i wiary w przyszłość zarazem, szykowała się stolica poważnie. Poważnie też, a zarazem imponująco wypadł sam obchód, który przybrał rozmiary uroczystej manifestacyi uczuć narodowych, wielkiej rozmiarami, podniosłej nastrojem.



Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie: Krzyż pamiątkowy pięciu straconych członków Rządu Narodowego.



Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie: Mowa ks. Grzybowskiego.



Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie: Prezydent Warszawy przemawia na uroczystości.

Obchodowi 5. sierpnia poświęcono dzień cały. Rozpoczął się rano nabożeństwami w kilku kościołach warszawskich. W nabożeństwach wzięły udział tłumy publiczności, śpiewającej pieśni narodowe. Najuroczystsze było nabożeństwo w kościele św. Franciszka na ulicy Zakroczymskiej, najbliższym miejsca stracenia. Byli tam obecni: prezes Rady miasta Warszawy, rektor dr. Józef Brudziński, konsul austryacko-węgierski Andrian, radca dworu Ignacy Rosner. w presbyteryum zajęli miejsce weterani z 1863 roku, rodziny, dzieci i wnukowie straconych, oraz przybyła z majątku swego Chojnata pod Mszczonowem, córka Romualda Traugutta, p. Anna Juszkiewiczowa. W nawie środkowej powiewały chorągwie i sztandary stronnictw politycznych, korporacyi i stowarzyszeń z orłami białymi. Podczas nabożeństwa śpiewał chór opery pod dyrekcyą Lewandowskiego, a tłumy publiczności odśpiewały na zakończenie „Boże coś Polskę“.

O godzinie czwartej po południu nieprzejrzane tłumy publiczności zalały Plac Broni przed cytadelą, gdzie na miejscu stracenia męczenników narodowych wyrósł potężny krzyż dębowy z Chrystusem, opleciony cierniową koroną. Dookoła krzyża ustawiły się delegacye ze sztandarami, które rozstawiała straż obywatelska, członkowie milicyi i skauci. Tuż pod krzyżem ustawili się weterani z roku 1863, duchowieństwo, radni stołecznego miasta Warszawy, przedstawiciele stronnictw politycznych, instytucyi oświatowo kulturalnych, dalej zaś zrzeszenia sportowo-zawodowe: męskie i żeńskie, skauci, młodzież szkół wyższych, średnich i niższych, przedstawiciele cechów i tak dalej. Widać było też gromadkę polskich Legionistów i reprezentantów departamentu wojskowego N. K. N.

O godzinie siódmej wieczór na dany znak zapanowała cisza. Ksiądz Gąsiorowski zwrócił się do zebranych z prośbą o odmówienie „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Maryo“ za dusze straconych członków Rządu Narodowego, a po skończeniu modłów dopełnił ceremonii poświęcenia wielkiego krzyża dębowego. Krzyż przybrano wieńcami i zielenią. U stóp krzyża ułożono dwa granitowe kamienie; na jednym z nich wyryto napis: „Członkom Rządu Narodowego: Romualdowi Trauguttowi, Rafałowi Krajewskiemu, Józefowi Toczyskiemu, Romanowi Żulińskiemu i Janowi Jeziorańskiemu, tu straconym dnia 5. sierpnia 1864 roku, lud warszawski dnia 5. sierpnia 1916 roku. Boże zbaw Polskę“; drugi kamień ma napis: „Z zapoczątkowania Ligi kobiet polskich“.

Z kolei delegacye i zrzeszenia przystąpiły do składania wieńców u stóp krzyża. Jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości poświęcenia krzyża złożyli wieniec, oplatając nim krzyż, uczniowie szkoły Wróblewskiego, następnie złożyła wieńce z żywych polnych kwiatów córka Traugutta, p. Anna Juszkiewiczowa. Obok tego były wieńce, opatrzone stoso-





Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie:
Rada warszawska przed krzyżem
Córka straconego dyktatora Traugutta, p. Juszkiewiczowa (X)



Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie: Por. hr. Roztworowski składa wieniec u stóp krzyża w imieniu Legionów.

wnymi napisami na szarfach: „Od Ligi państwowości polskiej“, „Ligi kobiet polskich“, „Narodowego Związku robotniczego“, „Weteranów roku 1863“, „Szkół średnich żeńskich“, „Skautów“, „Młodzieży promienistej“, „Nauczycielstwa ludowego“, „Ogniwa“, „Polskiej partyi socyalistycznej“, „Departamentu wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego“, „Towarzystwa szerzenia oświaty Czytaj“ i inne. Podczas składania wieńców z tysięcy piersi rozbrzmiewał hymn „Boże coś Polskę“.

Po odśpiewaniu hymnu rozpoczęły się przemowy. Pierwszy wygłosił przemówienie prezes rady miasta Warszawy, rektor Brudziński, wskazując na symboliczną doniosłość obchodu i chwili; dalej przemawiał również od stóp krzyża pamiątkowego jeden z uczestników powstania i walk 63. roku, p. Wł. Zapałowski, później jeszcze kilku mowców. Jednocześnie z ustawionych w różnych miejscach czterech mownic wygłosiło szereg oratorów przemówienia, z których gorącym tonem odznaczała się mowa posła Daszyńskiego, przypominająca ciągłe nici wspólności walki przeciwko uciskowi, nawiązywane między Galicyą a Królestwem, mimo kordonów granicznych. Mrok już zapadał, kiedy zgromadzone na uroczystości tłumy opuszczały stoki cytadeli.

Uroczystość nie skończyła się jednak tego samego dnia. Na drugi dzień od wczesnego ranka aż do zmierzchu tłumy ludności warszawskiej wszelkiego wieku, gromadnych pielgrzymek dziecięcych nie wyłączając, wędrowały do stóp pamiątkowego krzyża, w który, według proroczych słów jednego ze straconych, „przemieniła się szubienica“. Warszawa świadczyła, że przeszłość pamięta, o przyszłości marzy, choć jej tak usilnie starano się wpoić — *point des rêveries...*



Uczczenie bohaterów powstania w Warszawie: Poseł krakowski Daszyński przemawiający.

Samorządna Warszawa.

Dni wielkich, dni historycznych w tej dobie największej z wojen światowych nie braknie Królestwu i Warszawie. W ciągu pierwszego roku przeżyły one wszystkie okropności wojny, aż do bombardowania stolicy z powietrza włącznie. Rok długi poświęciły gojeniu ran, przez wojnę zadanych — odbudowie zniszczonych miast i wsi, zorganizowaniu na nowo zrujnowanego życia; w tej też dobie „pokojowego“ niemal odradzania się Warszawa święciła, obok innych mniejszych, dwa wielkie dni: otwarcie uniwersytetu w październiku 1915 roku i obchód rocznicy Konstytucyi Trzeciego Maja. — W przededniu prawie rozpoczęcia się trzeciego roku wojny — 24 go lipca — do tych dwóch wielkich dni przybył trzeci: pierwsze posiedzenie rady miejskiej warszawskiej z wyborów, pierwszy akt samorządu stolicy Polski.

Ogólne wielkie znaczenie historycznej tej chwili zaznaczyły już poprzednio „Nowości illustrowaue“. Wyszło ono daleko poza znaczenie samego faktu pierwszego posiedzenia rady samorządnej Warszawy — urosło, dzięki wygłoszonym na tem posiedzeniu mowom i deklaracyom, do znaczenia za-



Samorządna Warszawa: Prezydent Warszawy książę Lubomirski

powiedzi, że ta samorządna Warszawa to początek samorządu całego kraju, całej Polski — samorządu pojętego jak najszerzej, aż do zupełnej samodzielności nie tylko gospodarczej, ale i narodowo-politycznej, do niepodległości. To też Warszawa święciła ten dzień uroczyście; pierwsze posiedzenie nowowybranej rady miejskiej — rady z wyborów po latach tak wielu — było świętem nie samej tylko rady, ale całego miasta.

Uroczyste posiedzenie odbyło się w wielkiej sali kolumnowej Ratusza. Nad stołem prezydyalnym, tuż pod lożą prezydenta, zawieszono na ścianie portrety twórców Konstytucyi Trzeciego Maja: księdza Hugona Kołłątaja, Stanisława Małachowskiego, Ignacego Potockiego i Jana Dekerta, obramowane dekoracyjnie girlandami. Po prawej stronie od prezydyum ustawiono na wzniesieniu mównicę, obok zaś stół i trzy krzesła dla przedstawicieli władz okupacyjnych (komisarzy). Po stronie lewej od prezydyum ustawiono stół dla prezydenta miasta i jego zastępców, w nawie zaś szereg krzeseł dla przedstawicieli zarządu miejskiego. — Obszerną estradę prezydyalną udekorowano po bokach roślinami i kwiatami.

W piękne, słoneczne południe zebrali się członkowie rady na pamiętne posiedzenie. Galerye były zapełnione paniami z warszawskiego towarzystwa. Radni zajęli miejsca, które poprzednio wybrali. Stół prezydyalny otaczał pluton milicyi. — W fotelach, przeznaczonych dla przedstawicieli władz okupacyjnych zasiadają: Franciszek hrabia Kwilecki, oraz pp.: burmistrz Sahm i Temski.

Środek sali, poczynając od pierwszych filarów, zajmują stoliki dla radnych, ustawione wzdłuż w trzy rzędy. Lewą nawę od strony prezydyum (pod galeryą), odgrodzono stołami dla przedstawicieli prasy; prawa strona nawy przeznaczona jest dla zastępców radnych.

Przebieg tego pierwszego posiedzenia rady miejskiej samorządnej stolicy Polski opisaliśmy już w poprzednim numerze „Nowości illustrowanych“, poda-



Samorządna Warszawa: Pierwszy wiceprezes Rady warszawskiej inżynier Piotr Drzewiecki.



Samorządna Warszawa: Prezes Rady stolicy Polski z wyboru, rektor Brudziński.



Włoska ofensywa: Patrol oficerska na Małym Polu.

chodzi skromnie, ale z pietyzmem; albowiem są to rocznice wypadków, które jeszcze nie wynikami świecą, ale treścią. Dwa lata, które znaczą te dwie rocznice — to przedewszystkiem okres walk i zmagań, czas budowania niemateryalnego pomnika ofiarności i męstwa polskiego żołnierza. Obchód tej rocznicy jest więc przedewszystkiem świadectwem tego męstwa i ofiarności wobec żywych, chwałą i uczczeniem go u padłych na polu walki. Im go też w pierwszym



Samorządna Warszawa: Drugi wiceprezes Rady warszawskiej inżynier Chmielewski.

jąc najważniejsze z niego zdjęcie. Obecnie uzupełniamy zobrazowanie tego historycznego dnia Warszawy zdjęciem, przedstawiającem wnętrze sali obrad rady podczas posiedzenia, oraz fotografiami: prezydenta Warszawy, dalej pierwszego prezesa warszawskiej rady miejskiej i dwóch jego zastępców.

Rada miejska Warszawy, wybrana na zasadzie kuryalnej, liczy ośmdziesięciu dziewięciu członków.

Druga rocznica wkroczenia Legionów do Królestwa.

Niedługie są w czasie dzieje obecnej wojny, ale bardzo długie mnogością doniosłych zdarzeń, w które obfitują. Dwa lata zaledwie przeszły, a już przybyły nam nowe narodowe święta, nowe rocznice, nowe obchody, znaczące dni, które mogą się stać zwrotnemi w historyi całych dzielnic, krajów i narodów.

Do takich należy rocznica wkroczenia pierwszych oddziałów Legionów polskich, wówczas jeszcze tylko Strzelców, do Królestwa. Znamionowało ono początek wielkich, gigantycznych zarówno, jak krwawych zapasów wojennych o władanie nad ziemiami polskiemi. Przekroczyła wówczas rosyjską granicę garstka, ale śladami tej garstki szły spojrzenia milionów: coś wielkiego, tajemniczego i strasznego — wojna z kolosem Północy — dziać się zaczynało. Razem z nią odżywały nadzieje — tłumione, a stłumić się nie dające, bez podstaw, ale silne mocą wiary niezłomnej. Po raz drugi Galicya już obchodzi tę rocznicę. Obchodzi skromnie...

rzędzie poświęcono. Dnia 6 sierpnia odbyła się w Krakowie uroczystość na cmentarzu u grobów Legionistów, gdzie krzyż drewniany zbudowała młodzież z seminaryum p. Münnichowej; uroczystość tę przedstawia nasza illustracya. Poza tem planowane są jeszcze inne uroczystości w Krakowie w ciągu bieżącego miesiąca dla uczczenia tej rocznicy.



Druga rocznica wkroczenia Legionów do Królestwa: Na grobach Legionistów w Krakowie

JÓZEF LASOŃ.

Z dni wojennych w Rosyi.

I.

Lojalny obywatel.

Andruszkow był lojalnym obywatelem Rosyi. Nie jest to nic złego, owszem powinnością obywatela każdego państwa. Z wybuchem wojny europejskiej lojalność Andruszkowa przeszła prawie że w fanatyzm, z czego się niezmiernie chlubił. Wierzył nieomylnie w zwycięstwo Rosyi, przekonany o słuszności sprawy, która pchnęła miliony żołnierzy w wiry wojenne.

Porwany gorącym patryotyzmem, porzucił wszelkie zajęcia, odwiedzając znajomych, naturalnie po odczytaniu dzienników, komunikatów urzędowych, w pogawędkach z przyjaciółmi starał się zawsze narzucać im swój pogląd, kreśląc palcem mapę — wskazywał na przyszłe granice Rosyi. Miał przy tej czynności rozmach krawca, krającego sztukę materyi, aby z niej uszyć całe ubranie. Trudno, by wszyscy mieli jednakie poglądy, przeto dysksye między przyjaciółmi często się zaogniały i przedłużały do późnej nocy. Mimo jednakże różnicy w poglądach, przyjaciele jego bardzo licznie na zebrania uczęszczali. Nawiasem mówiąc, niejednego z nich przyciągała do stolika Andruszkowa nie tyle dyskusya, ile raczej obfitość trunków, którymi raczył — zwolenników w nagrodę za prawomyślność, przeciwników zaś usiłując przekonać.

Wojna przechodzić poczęła rozmaite koleje, a z nią i ludzie. Andruszkow mimo klęsk i zwycięstw naprzemian, pozostał niezmiennym. Do wątpiących mówił:

— W każdej wojnie zwycięzca także otrzymuje razy! Zresztą rano zwyciężywszy — wieczór pokonanym być można — aż do następnego dnia!

Pewnego dnia, było to właśnie w dniach odwrotu rosyjskiej armii z ziem zdobytych, Andruszkow, zaproszony do krewnych, mieszkających w drugiej połowie miasta, pozostał u nich przez całą dobę, bawiąc się i polityKując zawzięcie. Brat Andruszkowa wydawał córkę za młodzieńca ze sfer wojskowych, z czego Andruszkow niezmiernie był rad, gdyż przybywał mu zawodowy strategik do jego polityki.

Późną już nocą wracał do domu, nie wiedząc o zaszłych zmianach na mieście. Mianowicie rozlepiono duże urzędowe afisze, ogłaszające najnowsze rozporządzenia, mocą których każdy obywatel, idący wieczorem przez miasto, winien mieć przy sobie, prócz paszportu, zapaloną latarnię w dłoni. Zaostrzenia te wynikły z powodu stanu wyjątkowego, zarządzonego w całej Rosyi.

Naturalnie Andruszkow nic o tem zarządzeniu nie wiedział. Byłby się był pierwszy do niego zastosował. Zatrzymany na rogu ulicy przez stójkowego okrzykiem: „Gdzie latarnia!" przeraził się niezmiernie i zdziwił.

— Gdzie latarnia? — pyta strażnik, wyciągając rewolwer.

— Jaka latarnia!? — odpowiada drżącym głosem Andruszkow, dygocąc ze strachu.

— Ty szpieg! zdrajca! Nie wiesz o najnowszem rozporządzeniu!

— Ja prawomyślny, lojalny obywatel!

— Pokaż paszport!?

— Zaraz! — odrzekł cichym głosem Andruszkow, wkładając rękę za piersi, gdzie we woreczku płóciennym spoczywały wszelakie potrzebne dokumenta.

Strażnik, widząc podejrzany ruch i bojąc się, by obwiniony nie wyciągnął z za pazuchy maszyny piekielnej, lub przynajmniej rewolweru, przyskoczył błyskawicznie do Andruszkowa, uderzając go pięścią w twarz, krzyknął:

— Ręce do góry!

Andruszkow uczynił żądany ruch, wyciągnął trzęsące ręce do góry.

Strażnik, miotając słowa obelg, zażądał powtórnie paszportu, ale gdy posłuszny Andruszkow zamierzał wydostać paszport z woreczka, otrzymał powtórne uderzenie w twarz i komendę nakazującą wznieść ręce do góry.

Powtórzyła się kilkakrotnie ta scena, nadzwyczaj przykra dla Andruszkowa, dopóki nie doszli do najbliższego posterunku.

Tam się sprawa wyjaśniła oczywiście, przeproszono Andruszkowa za przykry wypadek, który jednakże wynikł z winy nieprzestrzegania przepisów przez Andruszkowa.

— Każdy lojalny obywatel — przemówił doń rewirowy — winien się trzymać ściśle przepisów.

— Ależ ja jestem...

— Wierzę, wierzę — przerwał mu urzędnik — ale przyzna pan, że to pańska wina.

Wypadek ten zmartwił niepomiernie Andruszkowa. Nie tak bolała go twarz napuchnięta od razów strażnika, jak słowa urzędnika, wątpiące w jego lojalność. Przez kilka dni nie wychodził zupełnie z domu, nakazując służącej odprawiać nachodzących go gości, rzekomo z powodu nieobecności.

Nagłe zniknięcie z horyzontu restauracyjnego tak znanej i cenionej osoby, zainteresowało przyjaciół i znajomych. Po kilku dniach, siedząc samotnie wieczorem w domu, postanowił nagle ukazać się; naturalnie te kilka dni przykryć płaszczykiem nadzwyczajnego opowiadania, któreby postawiło go jeszcze wyżej w oczach znajomych.

Ostatni wypadek nauczył go ostrożności, zatem aby mieć ręce wolne do wyciągania w górę, na ewentualne żądanie strażnika, przywiązał latarnię do szyi, paszport zaś ujął w zęby, głęboko wzdychając:

— Ręce do góry, latarnia, paszport — wszystko jest w porządku, mogę zatem iść bez narażenia się na nieprzyjemne zajście.

Wyszedłszy tedy pewnym krokiem z domu, ciesząc się ze sprytnego wypełnienia przepisów. Na każde bowiem żądanie władzy, miał przygotowane: ręce do góry, latarnię oświetloną na szyi i paszport w ustach. Słowem — nic do zarzucenia.

Można sobie przeto wyobrazić oburzenie Andruszkowa, gdy na pierwszym rogu ulicy, strażnik ośmielił się go zatrzymać i spytał, co to ma znaczyć.

— Najnowsze rozporządzenie, durniu! — krzyknął oburzony do żywego Andruszkow, podtrzymując na chwilę paszport.

— Aresztuję was! — w odpowiedzi krzyknął strażnik.

Andruszkow szybko włożył paszport w usta, wyciągnął ręce do gory i groźnie spojrzał na strażnika. Ale ani mina, ani postawa nie wzruszyły strażnika, chwycił za kołnierz Andruszkowa i z orszakiem zebranego tłumu zaprowadził go na strażnicę. Tłum, widząc prowadzonego, oryginalnie zresztą wyglądającego, wył z radości i śmiechu.

Przed sądem polowym sprawa się wyjaśniła. Udowodniono Andruszkowowi zironizowanie i wyszydzanie ustaw i rozporządzeń gubernatorskich, dalej wywołanie rozruchów, gdyż zebrany tłum nie chciał ustąpić z przed strażnicy, życząc sobie pokazania oryginała z paszportem w zębach i latarnią u szyi. Andruszkow został skazany na sześciomiesięczne ciężkie więzienie, tem samem stracił w oczach władzy opinię lojalnego obywatela.

Odsiadując kozę, westchnął głęboko:

— Nie trzeba być nigdy za lojalnym — w Rosyi!...

— — — — — — — — — — — — —

II.

Dwaj przyjaciele.

Politow popatrzył na swego przyjaciela z pogardą. Ta chuda, pokurczona postać zegarmistrza przyprowadziła go do irytacyi po wypowiedzeniu poglądu na sprawę zwycięstwa oręża rosyjskiego. Czuł, że gdyby w tej chwili mieli powiesić Georgjewa, nic a nic nie żałowałby go, raczej szyderczo przypatrywałby się egzekucyi. Chuderlawe to takie, mizerne — przesunęło mu się przez myśl — a tak źle usposobione, nie pojmujące wielkodusznej polityki Rosyi. Tłumiąc w sobie wściekłość, Politow odezwał się słodko:

— Bo widzisz, mój kochany, wojna prowadzona na szerszą skalę, wymaga wiele ofiar. Dziwisz się i oburzasz, że tyle ludzi niepotrzebnie straciła Rosya w tej wojnie. Ale co znaczą te ofiary wobec naszej ojczyzny? Choćby wszyscy mieli życie położyć, mniejsza o to, byle dopiąć celu!

— Ależ, mój kochany — przerwał Georgjew, z podełba patrząc na Politowa, wysokiego, tęgo zbudowanego mężczyznę, zdrowego, kwitnącego życiem — rozchodzi mi się o straty, które...

— Bajki... To jest właśnie nasz, prawdziwie rosyjski rozmach. Pchnąć miliony żołnierzy w bój, a zwycięstwo pewne. Ze tam zginie tyle, a tyle tysięcy — ot głupstwo, małoż ludzi w Rosyi, jedni zginą, drudzy będą walczyć. Sądzę, że każdy obywatel powinien przyczyniać się jak najwięcej do zwycięstwa.

— No — ironicznie przemówił Georgjew — sądzę, że mówisz to pod wpływem najnowszego powołania roczników mobilizacyjnych, do których i my należymy. W słowach twoich przebija zapał żołnierza, dla którego dewizą jest: zwycięstwo lub śmierć. Myślę i jestem przekonany — złośliwie dorzucił chudy zegarmistrz — że w pierwszym rzędzie wzięty zostaniesz do szeregów!

— Ani mowy o tem! — pewnie odparł Politow.

— Tak sądzisz?

— Nie, tak twierdzę!...

— Jakto, mimo twych poglądów, nie masz zamiaru, choćby jako ochotnik iść i słowa w czyn przemienić?!

— Niema głupich! — mruknął Politow, zapalając wonne cygaro.

— A zresztą, sądzę, że tak czy tak, z ochotą czy bez ochoty, pójdziesz. Nadajesz się znakomicie na żołnierza!

— Założmy się — flegmatycznie odezwał się Politow.

— Zgoda! Stawiam sto rubli w zakład.

— Ja zaś trzysta!

— Ach, pardon! — przerwał Georgjew — dam trzysta i ja również, ale musisz mi powiedzieć, jakie masz choroby.

— Żadnej! Zdrów jestem, nie chorowałem nigdy w życiu!

— Żadnej ułomności?

— Absolutnie!

— Podwyższam stawkę o dwieście rubli!

— Mogę ją podnieść do tysiąca! Zgoda?

— Zgoda!

Zakład został zawarty, Georgjew wyszedł od przyjaciela z rozpromienioną miną. Po pierwsze, że wygrana tysiąca rubli była pewną, po drugie, że Politow jako żołnierz zmieni wnet poglądy, bowiem tam, gdzie chodzi o własną skórę, kwestya przekonań lub poglądów przechodzi rozmaite zmiany.

W trzy dni po zawarciu zakładu, zeszli się obaj przyjaciele przed gmachem wojskowym, gdzie odbywał się przegląd roczników rezerwy.

Georgjew, widząc rozebranego przyjaciela, mlasnął z zadowolenia językiem. Bary szerokie, jak u niedźwiedzia, wprawiły go w zdumienie i pewność, że zakład wygra.

Przechodzili się obaj po korytarzu, Georgjew, jak wyschnięta szkapa, lub mumia egipska, do której kości przyschła skóra, Politow znów jak atleta rozciągał ramiona, pokazując rozwinięte muszkuły rąk, piersi wypukłe, szerokie i włochate.

— Przygotuj tysiąc rubli na wieczór — szeptał Georgjew do ucha przyjaciela, złośliwie wykrzywiając wargi.

— A tyś już przygotował? — odparł Politow, ironicznie łyskając oczyma.

— Ja nie potrzebuję!

— Zobaczymy!

Stanęli prawie że równocześnie. Georgjew pierwszy. Komisya spojrzała nań pospiesznie i zanim miał czas otworzyć usta, wskazać na przeróżne choroby i niedołęstwo, uznano go za zdolnego. Potrząsnął smutnie głową, jak wierzchowy koń wprzągnięty po raz pierwszy w dyszel powozu, nie mający jednakże siły do zerwania rzemieni, krępujących go i przykuwających do nieznośnego ciężaru wozu. Gdy wyszedł drugiemi drzwiami na korytarz, zobaczył rozpromienioną twarz przyjaciela Politowa, który już zdaleka machał olbrzymiemi pięściami, trzymając w jednej ręce arkusz papieru... zwalniający go od służby wojskowej. Georgjew otworzył szeroko usta; czegoś podobnego nigdy nie przypuszczał. Zdziwienie jego nie miało granic.

— Dawaj tysiąc rubli! — szepnął Politow, podchodząc do przyjaciela.

— Tysiąc rubli! — oniemiały mruknął Georgjew — Toż dla mnie cały majątek!

— Dla mnie również! Przegrałeś!

— Nie przypuszczałem!

— Nie trzeba było się zakładać!

— Zaraz dam! Pójdziesz ze mną do domu?

— Zgoda!

— Sprzedam kilka starych klejnotów... zapłacę przegranę!

Przez całą drogę przyjaciele milczeli. Twarz Politowa jaśniała słodyczą, wywodzić począł teorye poświęcenia się dla sprawy ojczyzny.

— I ty... śmiesz mówić coś o ojczyźnie — zaśmiał się gorzko Georgjew.

— Niby dlaczego nie?

— Gdzież teorya — a gdzie praktyka?

— Masz mi za złe, żem wygrał zakład?

— Nie, ale...

— Żem zwolniony ze służby?

— Wcale nie! Ale nie gadaj o żadnych ideach, do których ręki nie przykładasz!

W bramie domu Georgjew przystanął na chwilę, patrząc badawczo na przyjaciela i zapytał:

— Wiesz co? Nie chce mi się wprost wierzyć! Przyznaję, wygrałeś zakład tysiąc rubli, ale przyznaj się, że to coś niejasnego... Rozumiesz, nie chcę się inaczej wyrazić!

— Jakto niejasnego?

— No, przyznaj się, wiele cię to kosztowało?

— Słowo honoru, ani kopiejki!

— Kłamiesz! W to już absolutnie nie uwierzę!

— Słowo honoru!

— A tak, to wierzę!

W mieszkaniu Georgjewa rozwiązały się przyjaciołom języki, obficie zakrapiane koniakiem. Okazało się, że Georgjew posiadał gotówkę, odpadł zatem projekt sprzedania klejnotów. Pod wieczór wypłacił Georgjew tysiąc rubli Politowowi i żegnać się poczęli serdecznie, bowiem już tegoż dnia Georgjew miał udać się do koszar wojskowych.

— No, — przy pożegnaniu przemówił Georgjew — udało ci się, mój Politowie. Nie miałem tego szczęścia, co ty!

— Mogłeś mieć!

— Jakto?

— Gdybyś się był ze mną nie zakładał!

— Nie rozumiem!

— Otóż dałem słowo honoru, że ani kopiejki uwolnienie moje mnie nie kosztowało. To jest prawdą, jak również i to, żem wcale nie wygrał tysiąca rubli.

— Zatem...

— Uspokói się — przerwał Politow — zaraz wytłumaczę! Otóż te tysiąc rubli muszę zapłacić za to, że mnie uwolnili. Zatem nic nie wygrałem. Założywszy się z tobą, musiałem szukać dróg, aby zakład wygrać. W zamian wzięli ciebie. Uszczerbku przez to armia nie ponosi żadnego, bo z ciebie będzie, przypuszczam, daleko lepszy żołnierz, niż ze mnie. Dyskusya nasza poprzednia rozjątrzyła i rozgniewała nas, wynikł z tego zakład. Gdybyśmy zamiast tego, naradzili się wspólnie nad sposobem uniknięcia przykrych rzeczy, byłby i wilk syty i owca cała. Ty miałeś pieniądze — ja znajomości. Nie trzeba było zakładu, tylko wspólnego interesu. Teraz wszystko dla ciebie przepadło. Wybacz moją otwartość, ale człowiek jest zawsze egoistą i więcej siebie kocha, niż drugiego, Sądzę, że przyjaźń...

— Łotrze! — krzyknął oburzony Georgjew i, otworzywszy drzwi na oścież, rzutem rąk i nóg wyrzucił najdroższego przyjaciela na schody.

Politow, stanąwszy w bramie, odwrócił się lekceważąco w stronę byłego przyjaciela i mruknął przez zęby:

— Sądzę, że się już nie zobaczymy nigdy!

— — — — — — — — — — — —

III.

Niema złego — bez dobrego.

— Cóż tam nowego, Iwanie Iwanowiczu? — przywitał kupca korzennego, Sołodowa, handlarz nierogacizny.

— Co nowego? — odparł zapytany, przysiadając się do stolika Sołodowa — ot, znów zwycięstwo!

— A czyje? — chytrze spytał handlarz nierogacizny, zamawiając jednocześnie u kelnerki piwo.

Iwan Iwanowicz Iwanow pociągnął duszkiem chłodzący napój, obtarł spocone czoło wykwintną jedwabną chusteczką, ogłądął się podejrzliwie wokoło. Na sali restauracyjnej, prócz nich, siedziało kilku jegomościów, zagłębionych w czytaniu dzienników. Sołodow pociągnął również wzrokiem, z za zdrością przypatrując się czytającym dzienniki, rachując w myśli, wiele go codziennie kosztuje nieumiejętność czytania. Ot — rozważał w duszy — dziś dobrzem trafił na Iwana Iwanowicza. Ten nie wypije więcej, niż trzy szklanki piwa, a opowie wszystko.

Iwanow pociągnął drugi raz chłodzący napój, wypróżnił szklanicę do dna, stawiając ją z rozmachem, miał ochotę zamówić następną, ale go ubiegł Sołodow, giestem ręki nakazując kelnerce napełnienie szklanki, obawiając się, aby przyjaciel jego sam nie zamówił, a tem samem nie skwitował z opowiadania.

— Cóż, czyjeż zwycięstwo? — trąciwszy się szklanką, powtórzył pytanie Sołodow.

— Eh... — odparł zniechęconym głosem Iwanow — nasze!...

Sołodow pokręcił głową, spojrzał nieufnie wokoło sali i odszepnął cichutko:

— Złe!...

— Czemu źle? Przemyśl my wzięli, nasi pod Krakowem!

— Złe! — mruknął Sołodow, bębniąc palcami po stole.

— Rozumiem! — odparł ignorująco Iwanow — Dla was źle, ceny żywego i bitego towaru spadną, trudno będzie skupować nierogaciznę, będą wywozić tam w te zdobyte prowincye, aby dobrze sprzedać.

— Ceny nie spadną — odparł przekonywująco Sołodow — ale trudniej będzie skupywać żywy towar. Ot każdy, będzie chciał tam wywieźć!

— No, nie każdy tam może jechać. Ot, niema, jak wam. Towar na magazynie leży, sprowadzać można z całej Rosyi, a co kilka dni choćby o kopiejkę wyżej, no to i majątek.

— Dobrze wam gadać. Wy swoje, ja swoje. Wam nie jest źle, ani mnie. Taka wojna, jak teraz, nie prędko znów będzie, człowiek tyle lat pracuje, niczego się nie dorobił.

— Teraz się dorobi! — westchnął głęboko Sołodow — Ot tyle zmartwień, aż życie się przykrzy.

Napełnione szklanki znów wypróżniono, nachylając się ku sobie, zwierzać się wzajemnie poczęli.

— Jak myślicie, Iwanie Iwanowiczu! Długo wojna będzie?

— Bóg wie! Oj, ciężkie teraz czasy!

— Ciężkie!

Iwanow wyciągnął z bocznej kieszeni pomięty dziennik, odczytując niektóre komunikaty i ważniejsze wypadki wojny. Gdy skończył czytać, spojrzał tryumfująco na przyjaciela i spytał:

— Swietne zwycięstwo?

— Złe!...

— Znowu źle?

— No, tyś jest kupiec! To ty nie wiesz, ile ciebie niejeden świetny interes zdrowia i pieniędzy kosztował.

— No interes, ale nie wojna!

— To wszystko jedno!

Iwanow milczeniem zbył przyjaciela, zagłębiając się w czytanie dziennika. Sołodow przywołał kelnerkę, rozkazując napełnić szklanki. Ale urażony Iwanow nie raczył nawet spojrzeć na pieniący się napój, zagłębiając się w czytaniu.

— No, Iwanie Iwanowiczu! Wasze zdrowie!

— Dziękuję! Nie piję!

— No, czemu wy taki obraźliwy. Napijcie się i czytajcie dalej!

— Powiedziałem — nie będę pił, ani czytać wam nie chcę!

— No, a czemu?

— Bo wam wszystko źle!

— Jak ma być dobrze, jak ja jutro idę do aresztu, aż na sześć miesięcy!

— Co, wy! — zdziwiony Iwanow zapytał, porzucając dzienniki — A to za co?

— Przez to, że właśnie „źle". Nauczyłem się zawsze tak mówić i teraz idę się oduczyć!

— A, tak — szepnął wzruszony Iwanow — i sądzicie, że wam to coś pomoże?

— O, broń Boże, ani nie przypuszczam — odparł Sołodow, wychylając duszkiem szklankę piwa.

— No, macie słuszność — ja przez sześć miesięcy uczyłem się dobrze ważyć w areszcie i ani rusz nie nauczyłem się.

— No, kiedy wy szczery — to i ja będę. U mnie toż samo!

— Oj, ta wojna! — westchnęli obaj i rozstali się w zgodzie.

K. KOWALSKI.

Polskie serca.

Przed godziną opuściła salę sądową, a jeszcze widzi to wszystko jak na dłoni: te ostre, złe twarze oficerów rosyjskich i słyszy głos pułkownika, odczytującego jej wyrok: „W imieniu Jego Cesarskiej Mości cara Mikołaja II., skazuje się siostrę pielęgniarkę, Helenę... na dziesięć lat ciężkich robót na Sybirze za uwolnienie z niewoli piętnastu jeńców-Austryaków, wśród nich dziewięciu Legionistów polskich i za wzbranianie się podania ich miejsca pobytu".

Zgroza i trwoga zimna przejęła ją na wskroś, gdy czytano jej ten wyrok. I tylko oczu pułkownika nie zapomni nigdy, tych jasnych, przejrzystych i takich dziwnie, dziwnie dobrych, które tak współczująco patrzały na nią i zdały się mówić: „Wytrwaj! Bądź mężną!"

O. tak! Wytrwa! Przecież jest tak dumną i szczęśliwą, że przynajmniej tych kilku ocalić mogła, tych kilku dzielnych, walecznych synów Polsce przysporzyć i wybawić z niewoli. Tylko jej żal, że tak niewiele zdziałała i że już skończona jej praca; bo i cóż potrafi uczynić tam daleko, jak pracować dla idei, dla sprawy, wśród tych sybirskich lodów? — I znów dreszcz zimny wstrząsnął ją całą, oparła głowę o krawędź łóżka, które w kącie jej więzienia stało..

Duma nieszczęsna, duma. Nie płacze jednak, tylko myśli o wszystkiem, o tem co, przeżyła sama i o tych, co w tej chwili pierś swą w ofierze Polsce w bój krwawy niosą, a na których może teraz grad kul leci; i o tem, że za godzin kilka musi opuścić kraj ukochany i ten Lwów, gdzie swe dziecięce lata spędziła, gdzie w gronie towarzyszów nauczyła się nieść dla dobrej sprawy wszystkie swe chwile wolne i oddać się całą duszą pracy narodowej.

„Wszystko, wszystko to więc porzucić muszę?..." i ręce jej splotły się w beznadziejnem, rozpacznem załamaniu.

Po chwili wstała — cóż to? Czy wizya jaka — czyż to zgorączkowana wyobraźnia ukazuje jej matkę ukochaną, mówiącą do niej tak słodko: „Halko! Halko! czyś zapomniała, proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie, a będzie wam otworzone!"

Więc usuwa się na kolana i drżąc cała mówi, mówi do Boga: „Boże! Ocal Ty mnie! Boże wybaw! Patrz, jam młoda — ja ginąć nie chcę... Weź mnie w Swą świętą opiekę! " i więcej mówić nie może. Lecz dusza jej przed tron Boga się wzniosła, tak błagalnie, tak ufnie, że z klęczek powstała już spokojna i cicha...

Rozbierać się zaczęła, pragnąc bodaj na chwilę usnąć, gdy wtem drzwi się otwarły i wszedł sołdat. „Chodź do pułkownika!" „Teraz, w nocy?" zdziwiona zapytała. „Taki rozkaz!" woła i za rękę ciągnie. Idą przez ciemne, ponure korytarze, aż wkońcu żołnierz się zatrzymał i puka do drzwi. Weszła do obszernej sali, a tam pułkownik, ten sam, który rozprawę prowadził. Skinął na żołnierza, by odszedł, zostali sami. Otworzył drzwi do pokoju mniejszego i wejść poprosił. Zamknąwszy szczelnie drzwi, zaczął mówić: „Siostro, mnie was żal bardzo. Chciałbym, pragnę ułatwić ci ucieczkę. Słuchaj uważnie! Oto ubiór siostry rosyjskiej; w to ubranie się przebierz, a pod nie wdziej swoje; do Brodów jechać musisz, tam oddadzą cię komisyi kontrolnej, ale tylko papiery w ich rękach zostaną! Tobie oficer, mój zaufany wskaże na stacyi pociąg z Rosyi nadjeżdżający, do którego wsiądziesz po zrzuceniu swojego ubioru, no i da Bóg znów szczęśliwie do Lwowa powrócisz. Tu musisz czasowo się ukrywać, a potem, po jakimś czasie, znów będziesz mogła pracować. A jak, to ty wiesz sama najlepiej. Ojczyzna woła i dziś bardziej, niż kiedykolwiek, potrzebuje takich cór, jak ty."

Helce się zdaje, że śni... trudno w to uwierzyć. Lecz te oczy pułkownika do przytomności ją przywołują. Pochyla się tylko do jego ręki, lecz on nie pozwala jej do ust przytulić, tylko mówi dalej jak ojciec, jak brat: „Siostro, siostro! Nie dziękuj ty mnie! Podziękuj Bogu tylko, że na twej drodze stanął twój rodak, twój brat! — Losy mię zagnały na Wołyń rosyjski, tam kształcono mię w szkole rosyjskiej, tam rozpocząłem swą karyerę wojskową. W żyłach mych jednak płynie krew polska i w piersi polskie serce drga, które Ojczyźnie służyć pragnie, choć nie może... Idź z Bogiem! Bądź Polką zawsze i wszędzie — idź „Ojczyzna woła" — a ty Jej służyć umiesz!"

I tylko oczy ich się zwarły i przylgnęły do siebie mocno, mocno, zda się, na śmierć i życie...

Rozeszli się w milczeniu, lecz ślub ich zawarty w tych czterech pustych ścianach i ta milcząca przysięga zespoliła ich dusze na zawsze, choć się nie spotkają może już nigdy. W piersiach tej dziewczyny, pielęgniarki austryackiej i pułkownika rosyjskiego biły polskie serca.

KONIEC.

Na wschodnim froncie.

Fala rosyjskiego najazdu znowu się wzdyma nad wschodnią Galicyą. Rosyanie zebrali olbrzymie armie i uderzają bezustannie w linie wojsk sprzymierzonych mocarstw centralnych na Wschodzie, które się uginają, ale nie łamią. Tysiącami trupów własnych żołnierzy opłaca rosyjskie kierownictwo swoje zachcianki ofenzywne, które go jednak do zwycięstwa doprowadzić nie mogą.

Albowiem opór wojsk niemieckich, austryackich i Legionów jest niezmożony, przechodzący ciągle od czynnej obrony do ataku. Przytem Rosyanie walczyć tu muszą także z wyższą techniką wojenną swych przeciwników. Na obronę swoich linii mają sprzymierzeńcy nie tylko wspaniałą i liczną artyleryę i karabiny maszynowe, ale także znakomity system fortyfikacyi polowych — zamaskowane rowy, kryte a wysunięte daleko pod front nieprzyjacielski placówki przednie i t. d. Pod ich osłoną życie żołnierskie na froncie płynęło niemal z komfortem: prawidłowe wydawanie menaży, łazienki do kąpieli, wille dla oficerów i t. d. nadawały mu cechę cywilizowaną. A w razie cofnięcia w jakiem miejscu frontu, natychmiast powstaje nowa linia obronna, buduje się nowe pozycye, przeprowadza nowe zasieki z drutu kolczastego i t. d. I atakująca armia rosyjska spotyka przed sobą nowy mur nie do przebicia. Wyniku zatem walk na wschodnim froncie możemy oczekiwać spokojnie, mimo że rosyjskie o nich komunikaty lubią uderzać w ton zwycięski; zwycięstwa to pyrrhusowe, a w części próżne przechwałki.



Na wschodnim froncie: Budowa zasieków z drutu.



Na wschodnim froncie: Kazanie kapelana przed bitwą.

Medal na cześć Legionów.

Dla uczczenia bohaterskich zapasów Legionów wybity został niedawno piękny medal. Po jednej stronie przedstawia on Legionistów, idących do ataku, po drugiej „ojców“ i „synów“, starsze i młodsze pokolenie Polaków, które wykutą co dopiero, wywalczoną ofiarami i bojami koronę polską podnoszą i trzymają w blaskach wschodzącego słońca wolności. Jest to piękna plastyczna pamiątka wielkich wypadków i chwil, które przeżywamy.

Autorem medalu jest znany z wielu prac, me-



Na wschodnim froncie: Wille oficerów na linii bojowej.



Msza przed bitwą.

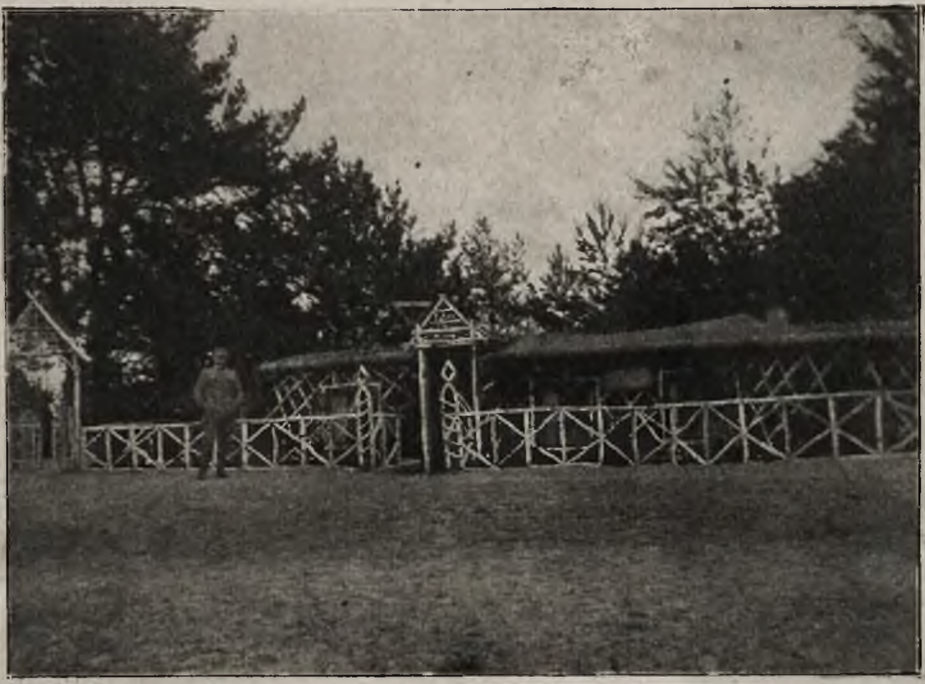


Wysunięta placówka.

Na wschodnim froncie:



Samorząd m. Warszawy: Pierwsze posiedzenie warszawskiej Rady miejskiej.



Łazienka w linii bojowej.



Na wschodnim froncie: Budowa nowych pozycyj na Wołyniu.

dalier Jan Wysocki, mieszkający stale w Monachium. — Medal wybity został nakładem artysty, który część czystego zysku przeznaczył na wdowy i sieroty po Legionistach. Cena cynkowego medalu wynosi sześć koron, srebrnego trzydzieści koron, a nabywać go można w Towarzystwie numizmatycznem w Krakowie, Wolska 12, oraz we wszystkich księgarniach.

Uroczystość szkolna w Królestwie Polskiem.

Zakończenie roku szkolnego w Królestwie Polskiem, zwłaszcza w obwodzie Jędrzejowskim, obchodzono nader uroczyście. W każdej szkole starano się nadać uroczystości charakter podniosły, gdyż było to niezwykłe święto w całem tego słowa znaczeniu dla polskiej szkoły. Obok rozdanych zawiadomień szkolnych, obdarzono uczniów nagrodami pilności w postaci książeczek do nabożeństwa lub treści pouczającej. Najpodnioślej odbyła się uroczystość zakończenia roku szkolnego w szkołach w Mierzwinie, Wodzisławiu, Potoku Małym i innych — jak i w samem mieście obwodowem w Jędrzejowie. — Tu połączono uroczystość z wystawą robótek ręcz-



Medal na cześć Legionów: Obie strony medalu, dzieła Wysockiego.



Uroczystość szkolna w Królestwie Polskiem: Uczestnicy przedstawienia amatorskiego młodzieży szkolnej w Jędrzejowie.



Uroczystość szkolna w Królestwie Polskiem: Wystawa robót ręcznych na zakończenie roku szkolnego w Jędrzejowie.

nych i przedstawieniem amatorskiem młodzieży szkolnej. Odegrano wcale udatnie dwie sztuczki, a to: „Powrót taty“ i „Dla Konopnickiej“. W uroczystości tej obok zaproszonych gości wziął również udział generał baron Stiilfried z Kielc.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy zdjęcia z wystawy robót ręcznych dziewcząt i grupę małych amatorów ze sztuczki „Dla Konopnickiej“.

Z tragedyi wojennych.

Wojna! Któż zdoła objąć myślą ogrom tragedyi, jaką przeżywa dziś ludzkość, objęta największą w dziejach pożogą wojenną... Mordercze walki, śmierć i rany kroci istnień ludzkich, ginące w ogniu granatów wsie i miasta, tysiączne rzesze wygnanych z swych siedzib tułaczy — oto żniwo obecnej wojny... A najstraszniejszy, najtragiczniejszy haracz płaci w tej wojnie naród polski... Na jego ziemiach toczy się walka i jego synowie zalewają swą krwią wszystkie pobojowiska...

To tragedya narodu — lecz któż zliczy wszystkie męki, cierpienia i łzy jednostek, które kryją się pod jej szkarłatnym płaszczem?... Życie przechodzi nad niemi do porządku dziennego, a tymczasem są to dramaty, wobec których bledną najbardziej wstrząsające utwory fantazyi powieściopisarskiej.

Oto jedna z takich tragedyj. Jak tylu innych, z chwilą wybuchu wojny w szeregach polskich żołnierzy stanął Henryk Gąszczecki z Żywca, młodzieniec, co wprost z ławy szkolnej zaciągnął się pod znaki Legionów i wyruszył w pole w trzeciej kompanii, drugiego batalionu pierwszego pułku. Nie pomogły prośby i perswazye rodziny, powstrzymujące młodzieńca ze względu na jego wiek młody...



Z tragedyi wojennych: Zaginiony Legionista Henryk Gąszczecki.

Poszedł i zapowiedział, że, jeśli zostanie kaleką, nie wróci do domu... Przyszła wreszcie hiobowa wieść do rodziny, że w dniu 21-go października 1914 r. Gąszczecki miał rzekomo zginąć w bitwie pod Bednarami, nie było jednak urzędowego potwier-



Straconie zdrajców stanu: Ogłoszenie wyroku skazańcom.



Na wschodnim froncie: Zamaskowane rowy strzeleckie o 50 metrów od nieprzyjaciela.

dzenia jego śmierci... — Od tego czasu rodzina nie otrzymała też od niego żadnej wiadomości, szarpana straszniejszą, niż śmierć niepewnością... Aż wreszcie przyszły nowe wieści... Gąszczecki miał się dostać do niewoli, straciwszy przytem w walce wzrok... Wiadomość tę potwierdzałoby opowiadanie Legionistów, którzy mieli go widzieć w zakładzie dla ociemłych w Warszawie już po zajęciu jej przez armię niemiecką, gdyż Gąszczecki, jako pozbawiony wzroku, mógł być przy wymianie jeńców uwolniony.

Wszelkie jednak starania rodziny celem odszukania zaginionego Legionisty pozostały bez rezultatu. Być może, że Gąszczecki, w myśl postanowienia, że „kaleką nie wróci do domu“, ukrywa się pod innem nazwiskiem... Zrozpaczona rodzina uprasza więc wszystkich, ktoby według zamieszczonej w dzisiejszym numerze fotografii Henryka Gąszczeckiego, miał o nim jakiekolwlek wieści lub mógł wskazać miejsce jego pobytu, aby zawiadomił ojca, Augusta Gąszczeckiego, zamieszkałego w Żywcu, ulica Krzyżka...

Nie wątpimy, że apel ten nie pozostanie bez rezultatu i powróci rodzinie bohaterskiego młodzieńca, który sam może się odezwie, gdy się dowie, jak cierpią z braku wieści o nim jego najbliżsi.

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

2

— Zaręczam ci, że wkrótce zamieni dom nasz cały na bibliotekę i laboratoryum, bo przecież także namiętnie zajmuje się chemią i pełno u niego retort i słojów z cudacznymi płynami. Pozatem mam wielką cześć dla jego nauki, ale przekonasz się, że kiedyś wysadzi cały nasz pensyonat w powietrze.

— Mam nadzieję, że nie dojdzie do tego — zaśmiała się pani Donay. — Pan Schoetten jest cichym i skromnym człowiekiem. Jest już u nas od dni dziesięciu i przyjmuje wszystko z dobrym humorem i zadowoleniem.

— Jednem słowem, wzór lokatorów — rzekł Wiliam Tharps żartobliwie.

Przybycie dwóch ajentów zmieniło kierunek rozmowy. Wysłani zostali przez pana Dumont dla wyszukania śladów, któreby pozwoliły wnioskować, w jaki sposób odbyło się uwiezienie zwłok zamordowanego. Naprózno jednak przeszukali przedmieścia i wypytywali mieszkańców. Nikt nic nie wiedział i nikt nie mógł odgadnąć, którędy prześlizgnął się zbrodniarz. W małem miasteczku, jakiem było Saint Mande, łatwo było zresztą zauważyć twarz nieznajomą, a wszyscy zapytani twierdzili jednogłośnie, że nie widzieli nikogo obcego, wychodzącego z pensyonatu „Donay", ani kręcącego się po okolicy. Nie widziano również żadnego powozu, ani automobilu.

Tajemnica więc uwiezienia zwłok została dalej niezbadaną i podrażnieni urzędnicy policyjni, widząc bezowocność dalszego śledztwa, pożegnali panią Donay i pułkownika Ricotte i opuścili pensyonat, pozostawiając na miejscu dwóch ajentów. Dwóch innych miało strzedz ogrodu i głównego wejścia.

— Zechciej mnie pan zawiadomić telefonicznie, jeżeli zajdzie coś nowego — prosił pan Dumont Wiliama Tharpsa. — Pan zapewne jeszcze tu zostaje. Znam zaciętość pana w podobnych wypadkach i wiem, że będzie pan tu dalej szukał i badał.

— Tak jest — odparł Tharps. — Zainteresowała mnie bardzo zawiłość tej zbrodni, a przytem nie mam na razie nic ważniejszego do czynienia. Zabawię tu jeszcze chwilę wraz z moim przyjacielem.

Pożegnawszy się z nami, pan Dumont odjechał. Kiedy wsiadał do oczekującego go powozu, Tharps zwrócił się do mnie i uśmiechnął się.

— Z czego się śmiejesz? — zapytałem go.

— Ten poczciwy Dumont bierze mnie za swojego przyjaciela — odparł Tharps. — Czy zauważyłeś, Synhamie, z jaką prostotą prosił mnie o zawiadomienie go, gdyby coś zaszło nowego? Smieszny człowiek, doprawdy! Powinien mnie znać lepiej i wiedzieć, że nie mam nic wspólnego z tego rodzaju ludźmi — dodał pogardliwie.

Zapalił papierosa i powrócił do pensyonatu.

Szedłem obok niego i widziałem, że był zdenerwowany, co nie często mu się zdarzało. Nie chciałem przerywać jego zamyślenia i czekałem, aż sam pierwszy zacznie mówić.

— Widzisz, mój kochany — odezwał się wkońcu — największą moją wadą jest, że byłem zawsze zanadto uprzejmy z tymi ludźmi. Teraz oni współdziałanie moje i pomoc uważają, jak rzecz sobie należną. Ale tym razem mam wielką ochotę pozostawić ich własnemu przemysłowi. Mam już dosyć tej wspólnej z nimi roboty.

Wiliam Tharps mówił z widocznem rozgoryczeniem i niechęcią. Chcąc zmienić kierunek jego myśli, zapytałem go:

— Co myślisz o tej dziwnej historyi? Wydaje mi się otoczoną niezbadaną tajemnicą.

— Trudno mi w danej chwili orzec coś stanowczego — odrzekł, otaczając się gęstymi kłębami dymu. - Znajdujemy się wobec faktu, którego wykonanie zużyć musiało wiele przebiegłości i odwagi z jednej strony, z drugiej zaś niewątpliwem jest tajemne a zręczne wspólnictwo i nad tem właśnie zastanawiam się najwięcej.

— Co do mnie, nie bardzo wierzę temu wszystkiemu, co wykazało śledztwo w pensyonacie.

— Zeznania wszystkich tych ludzi są szczere, zaręczam ci.

— Może wśród służby...

— Nie, nie! — przerwał mi niecierpliwie — to jest wykluczone. Nikt ze służby nie przykładał ręki do tej zbrodni.

— Ale w każdym razie przyznać trzeba, że okoliczności dziwnie sprzyjały tajemniczemu mordercy...

Tharps zbył milczeniem moje słowa i zapalił drugiego papierosa.

— Czy nie jesteś tego samego zdania? — nalegałem, chcąc go zmusić do dalszego wypowiedzenia swoich myśli.

— Nie pytaj mnie teraz o zdanie, Synhamie — odpowiedział. — Chwilami cała ta sprawa wydaje mi się prosta i jasna aż do śmieszności.

— Jak to rozumiesz? Widocznie masz już ustalone dowody, lub podejrzenia...

— Nie, nie mam nic ustalonego i proszę cię nie pytaj mnie więcej, bo sam nic nie wiem. Powtarzam ci tylko, że chwilami cała sprawa wydaje mi się prosta i jasna aż do śmieszności.

Dziwny przypadek profesora.

Słowa ostatnie Tharpsa, wyrzeczone z całą powagą i pewnością siebie, zaintrygowały mnie silnie.

Domyślałem się, że w umyśle jego przeciwstawiały się dwie różne sobie zupełnie hypotezy, z których jedna, jak sam mówił, była „prosta aż do śmieszności".

Już niejednokrotnie miałem sposobność przekonać się, jak lekko i łatwo przyjaciel mój rozwiązywał zagadnienia najzawilsze z pozoru, ale tym razem jednak zdziwiony byłem sposobem zapatrywania się jego na niezrozumiałe dla wszystkich wydarzenie, odegrane w pensyonacie pani Donay.

Wiliam Tharps, przerwawszy nagle ze mną rozmowę, pospieszył do pułkownika Ricotte i jego siostrzenicy, rozmawiających z ożywieniem na werandzie pensyonatu.

W kilka minut później wszyscy czworo zebraliśmy się w gabinecie pani Donay, znajdującym się na parterze. Pierwszą czynnością Wiliama Tharpsa było zamknąć szczelnie drzwi i okna.

— Cóż to za ostrożność? — zaśmiała się lekko pani Donay — Czy pan ma nam coś ważnego do powiedzenia?

— Nie, proszę pani — odparł detektyw — lecz chciałbym jeszcze pomówić poufnie o sprawie, która nas tak wszystkich żywo obchodzi. A przedewszystkiem chcę się zapytać, czy pani i pan pułkownik nie mają nic przeciwko temu, abym ja na własną rękę, bez współudziału policyi, zajął się śledztwem?

— Ależ, kochany panie! — wystąpił natychmiast pułkownik Ricotte — Prosimy nawet o to pana bardzo gorąco. Będziemy szczerze zadowoleni, jeżeli się pan przyczyni do wyjaśnienia tej tajemnicy, która z każdą chwilą staje się dla nas mniej zrozumiałą. Gdyby pan był sam nie zjawił się u nas, bylibyśmy z wszelką pewnością prosili o udzielenie nam swojej pomocy.

— Tak jest! — potwierdziła słowa wuja pani Donay — Odkąd zauważyłam, że się pan zainteresował tą sprawą, czuję się o wiele spokojniejszą i właśnie przed chwilą, na peronie rozmyślaliśmy z wujem, jakby pana uprosić do działania w tym kierunku.

— Słowa łaskawej pani pochlebiają mi niewymownie. — odparł Tharps uprzejmie — Jak pani widzi jednak, zachęcać mnie bardzo nie trzeba do podobnej roboty. Wszelkie ciekawe zbrodnie interesują mnie żywo i z całem zamiłowaniem przystępuję do prowadzenia śledztwa.

— Oh! Kochany panie — przerwał pułkownik Ricotte — wiemy aż nadto dobrze, że powoduje panem jedynie tylko amatorstwo i upodobanie przedmiotu.

— Zechcą więc państwo, skoro porozumieliśmy się w tym względzie, uprzedzić służbę, aby gotowa była do wykonania wydanych przezemnie rozkazów, jeżeli tego zajdzie potrzeba.

— Najchętniej. — odpowiedziała pani Donay — Wuj się tem już zajmie, nieprawdaż?

— Dobrze, moja kochana — rzekł pułkownik powstając i zmierzając ku drzwiom.

— Niema jeszcze nic pilnego, panie pułkowniku! — zawołał Tharps, powstrzymując go — Teraz chciałbym państwa jeszcze prosić o pewne szczegóły, tyczące się pana d'Orwalda.

— Służę panu! — rzekł pułkownik, siadając na dawnem miejscu — Wątpię jednak, czy zadowolnimy pana ciekawość. Pan d'Orwald był do ostatniej chwili tak poprawnym i sympatycznym gościem, że nie usłyszy pan nic więcej, prócz pochwał, któreśmy już przed panem i sędzią śledczym wytoczyli.

— Ale może pan pułkownik, lub pani — rzekł Wiliam Tharps, zwracając się do młodej kobiety — zauważyła wczoraj jakąś choćby lekką zmianę w zachowaniu się jego.

— Żadnej zupełnie. — oświadczyła stanowczym głosem pani Donay — Pan d'Orwald był uprzejmym i wesołym, jak zawsze i nic w jego zachowaniu nie zwróciło szczególniejszej mojej uwagi. Zaszła tylko jedna drobna okoliczność, która mogłaby rzucić pewne światło na dalsze wypadki...

— A ta okoliczność? Łaskawa pani, proszę mówić wszystko, najdrobniejszy epizod jest dla mnie ważny.

— Jak już wspominałam tym panom z policyi — mówiła dalej pani Donay — przy obiedzie pan d'Orwald objawił nam chęć pójścia wieczorem do teatru i w tym celu przebrał się w strój wieczorowy. Ale następnie odstąpił od tego zamiaru, wymawiając się bólem głowy i pozostał w salonie wraz z innymi gośćmi, aż do zwykłej godziny rozejścia się.

— Powiedziała pani „wymawiając się bólem głowy" — podjął Wiliam Tharps, który słuchał w skupieniu słów pani Donay — Czy w tem wyrażeniu się pani jest intencya, którą zapamiętać mi należy?

Młoda kobieta zdawała się być zdziwioną tą uwagą detektywa i milczała chwilę zakłopotana, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Mój Boże... — odezwała się wkońcu — czy ja wiem... zdawało mi się... że ból głowy, na który uskarżał się pan d'Orwald, nie dokuczał mu tak bardzo.

— Ah! Tak! — szepnął Tharps, patrząc przenikliwie na mówiącą

Pułkownik Ricotte, widząc zmieszanie siostrzenicy, przyszedł jej z pomocą.

— Pewnem jest — rzekł — że niedyspozycya naszego młodego przyjaciela nie była niepokojącą. Być może, że starał się zapanować nad nią i nie chciał nas przestraszać swoją zgnębioną twarzą.

— Oh! Mój wuju, na to przypuszczenie nie zgodzę się. — przerwała pani Donay — Pan d'Orwald czuł się u nas, jak u siebie w domu i nie potrzebował do tego stopnia krępować się nami.

Bystre spojrzenie pana Ricotte przerwało dalsze słowa młodej kobiety.

— Należałoby może przypuścić — wyrzekł powoli Wiliam Tharps, nie zauważywszy pozornie tego spojrzenia — że ból głowy pana d'Orwald maskował poważniejszą przyczynę, dla której pozostał w pensyonacie, zamiast udać się do teatru. Może lękał się jakiego spotkania, napadu, lub czegoś podobnego...

Pani Donay była silnie wzruszoną. Przypuszczenie mojego przyjaciela wprawiło ją w widoczne zdumienie i nie była w stanie słowa wymówić.

— Eh! co znowu! kochany panie! — zawołał pułkownik Ricotte. — Nasz lokator, dzięki Bogu, nie wyglądał na tchórza, którego cień własny przerazić może, nieprawdaż, kochanko?

Pani Donay skinęła tylko potwierdzającym ruchem, a Tharps nie dał żadnej odpowiedzi na tę uwagę.

— Czy pan d'Orwald nie miał jakiej znajomości kobiecej? — zapytał po chwili.

— Nic o tem nie wiem — odpowiedział pułkownik.

— W każdym razie nie w naszym pensyonacie — pospieszyła dodać pani Donay.

Wiliam Tharps uśmiechnął się lekko i zapalił papierosa, patrząc zagadkowo przed siebie.

— No, mogliście państwo o tem nie wiedzieć.

— Pensyonat mój cieszy się od założenia jak najlepszą opinią — oświadczyła urażona cokolwiek pani Donay. — Nic podobnego nigdy w moim domu nie zauważyłam.

— Być może... być może... — mruknął do siebie Wiliam Tharps.

Wejście dwóch osób, nie wiedzących o obecności naszej w gabinecie, przerwało rozmowę. Byli to goście pensyonatu. Spostrzegłszy nas, chcieli się wycofać, ale Tharps z taką uprzejmością sprzeciwił się temu, iż pozostali.

Nowymi przybyłymi był markiz da Santa Cruza i pan Gallmore, bogaty Amerykanin.

Byli jeszcze pod wrażeniem dokonanego morderstwa na osobie pana d'Orwalda i przyszli zasięgnąć u pułkownika Ricotte jakich wiadomości. Obecność sławnego detektywa angielskiego przyjęli z wielkiem zadowoleniem, zapewniając, że wpłynie ona dodatnio na uspokojenie wzburzonych umysłów gości pani Donay.

Markiz da Santa Cruza był Hiszpanem. Wymowę miał śpiewną, przeciągłą i wyrażał się dobranemi, wytwornemi słowami. Wzrostu był średniego, twarz miał podłużną o kolorycie ciemno oliwkowym i ubrany był z drobiazgową starannością i gustem. Na palcach jego błyszczało kilka drogocennych pierścieni.

Tworzył on kontrast zupełny ze swoim towarzyszem. Tamten był wysoki, barczysty, o jasnych,

włosach i białej cerze. Prawdziwy typ rasowego Amerykanina.

Markiz da Santa Cruza i pan Gallmore usiedli na zaproszenie pułkownika i wmieszali się do ogólnej rozmowy.

Natomiast Wiliam Tharps od ich wejścia nie brał w niej udziału, rzucał tylko od czasu do czasu jakieś nieznaczące słówka, lub potakująco kiwał głową.

Wsparł się wygodnie o poręcz głębokiego fotela i przez napół zmrużone powieki obserwował obydwóch przybyłych, notując sobie każde ich słowo w pamięci.

W pewnej chwili wyprostował się nagle i rzucił pytanie donośnym, poważnym głosem:

— Co to był za pierścień, który pan d'Orwald zawsze nosił na palcu?

Na słowa te Hiszpan zadrżał lekko. Siedziałem blizko niego i drżenie to nie uszło mojej uwagi.

Wszyscy zaś ze zdziwieniem spojrzeli na detektywa. Wiliam Tharps nie widział nigdy w życiu zamordowanego, jakże więc mógł wiedzieć, że ten nosił pierścień i nigdy się z nim nie rozłączał?

— Ja... ja nic nie zauważyłem — wyrzekł sepleniąc markiz da Santa Cruza.

— A kto panu powiedział, że pan d'Orwald nosił pierścień? — zapytał ze zdumieniem Amerykanin.

— Odkryłem to — odparł lakonicznie Wiliam Tharps.

Zwrócił się do pułkownika Ricotte, siedzącego po prawej jego stronie i powtórzył pytanie, dodając:

— Może pan pułkownik mnie w tym kierunku objaśnić zechce?

— Mało zwracam uwagi na klejnoty — odpowiedział niemniej zdziwiony pan Ricotte — i zapewne byłbym nie zauważył pierścienia naszego lokatora, gdyby ten pierścień rzeczywiście oryginalnością swoją i objętością nie przyciągał mimowoli mojego spojrzenia.

— Ten pierścień więc nie był podobnym do innych? — zaznaczył dobitnie detektyw.

— Nie oglądałem go bliżej, jednakże zdawał mi się być ulany z grubego złota i wyciśnięty był na nim znak jakiś.

— Znak? — zapytał Tharps zaciekawiony.

— Tak. Jakaś mitologiczna postać, czy coś podobnego?

— Nie zapamiętał pan dobrze rysunku?

— Nie widziałem nigdy zblizka tego pierścienia. Pan d'Orwald nie zdejmował go nigdy z palca, a przecież nie mogłem prosić go o pokazanie mi go choćby na kilka minut, bez popełnienia niedyskrecyi.

— A łaskawa pani — zwrócił się detektyw do pani Donay — czy nie przypomina sobie rysunku pierścienia?

— Nie wiem, co ten rysunek miał przedstawiać — odpowiedziała młoda kobieta. — Zauważyłam tylko, że był bardzo artystycznie i delikatnie wykonany. Pan d'Orwald nosił ten pierścień na czwartym palcu prawej ręki.

— Oczywiście — mruknął detektyw.

— To jedno słowo, wymówione przez niego z przekonaniem, w jednej chwili rozjaśniło mi wszystko. Wiedziałem już teraz, dlaczego mój przyjaciel przykłada tak wielką wagę do tego klejnotu i dlaczego tak uporczywie dopytuje się o niego.

Pani Donay w pokoju zbrodni znalazła na podłodze palec odcięty. Ten palec został odcięty panu d'Orwaldowi razem z pierścieniem. Więc zabranie pierścienia mogło być motywem zbrodni.

Pani Donay bez głębszego znaczenia wspomniała o „czwartym palcu prawej ręki" swojego lokatora, ale teraz, po wyrzeczeniu tych słów, ogarnęło ją nagłe wzruszenie. Młoda kobieta na równi ze mną zrozumiała teraz pytania Wiliama Tharpsa i przeczuła, że omawiany pierścień odegra ważną rolę w dalszem śledztwie.

W gabinecie zapanowało teraz ciężkie milczenie i trwało dosyć długą chwilę. Każdy z nas zastanawiał się w cichości nad niezbadaną i denerwującą tajemnicą, która dotąd nie znalazła wyjaśnienia.

Pani Donay wsparła głowę na ręce i przerażonemi oczyma patrzała przed siebie. Wiliam Tharps bębnił palcami po stole i otaczał się kłębami niebieskawego dymu.

Atmosfera w pokoju stawała się coraz cięższa. W mózgu moim przewijały się raz po raz męczące pytania: Jakąż wartość mógł mieć ten pierścień, skoro dla zdobycia go posunięto się aż do zbrodni? Może posiadał on w sobie talizman jakiś, nieznany przez nas, a cenny ponad wszystko dla kogoś, który wiedział o tajemnicy z nim związanej, bo przecież przypuszczać nie było można, żeby jedynie dla jego materyalnej wartości popełniono tak ohydną zbrodnię? Pierścień, jak mówił pułkownik Ricotte, był złoty, lecz nie posiadał żadnego drogocennego kamienia, oprócz niezrozumiałego rysunku!

Wiliam Tharps, rozmawiając przed chwilą ze mną, nazwał dramat, odegrany w pensyonacie pani Donay, „prostym aż do śmieszności". Nie mogłem się teraz zgodzić w żaden sposób z tem jego twierdzeniem. Nie zabija się przecież człowieka i nie powraca w okolicznościach bardzo niebezpiecznych na miejsce zbrodni jedynie dla zabrania bezwartościowego pierścienia i usunięcia zwłok, jak to miało miejsce nocy ubiegłej. Spojrzałem na mojego przyjaciela, chcąc coś wyczytać z jego twarzy, ale ciągle uśmiechał się, jak gdyby zadowolony ze wzruszenia, jakie wywołał i palił swojego nieśmiertelnego papierosa. Nie wiedziałem już, co myśleć i zacząłem się na dobre niecierpliwić.

A może on sam nie wiedział, jak rozwiązać ten problem trudny i zawikłany? Przypuszczenie to mogło być trafne, chociaż, wyznaję, upakarzało mnie ze względu na niego.

Nareszcie uporczywe i męczące milczenie przerwał pierwszy pan Gallmore, Amerykanin.

— Ciekawa w każdym razie jest ta historya — wyrzekł donośnym, spokojnym głosem. — Bez wątpliwości pan d'Orwald musiał mieć zaciętych wrogów, którzy go zamordowali dla zemsty.

— To jednak nie tłumaczy okoliczności, że po zamordowaniu go usunęli jego zwłoki — rzekła żywo pani Donay. — Jeżeli to była zemsta, to zbrodniarze powinni byli poprzestać na wykonaniu jej.

Chciałem już odezwać się, aby poprzeć uwagę młodej kobiety, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem, dając przejście człowiekowi, owiniętemu w szeroki, egzotyczny szlafrok, który komicznie wymachiwał rękami, wykrzykując głośno:

— Nareszcie znajduję was! — wołał przybysz rozgorączkowany i wylękniony, wymawiając wyrazy twardym, niezrozumiałym akcentem — Szukam panów wszędzie... okradziono mnie... słyszycie państwo... okradziono mnie przed chwilą!...

Był to poważny profesor niemiecki Schoetten. Wszyscy zerwaliśmy się i pobiegliśmy ku niemu.

— Cóż takiego pan zgubił? — zapytał Wiliam Tharps władający doskonale językiem niemieckim.

Widziałem, jak z poza olbrzymich okularów profesora wściekłe spojrzenie wybiegło ku detektywowi, jakgdyby go chciało zmiażdżyć.

— Nic nie zgubiłem! — odparł w tym samym języku — Okradziono mnie! Słyszy pan! Okradziono mnie w okropny sposób! Tutaj! Przed chwilą!

— I cóż takiego wzięto panu? — pytał dalej Tharps spokojnym głosem.

— Walizę, gdzie miałem papiery!

Detektyw zatarł ręce nerwowym ruchem i uśmiechnął się lekko.

— Oh! oh! Skradziono panu papiery!... To nie bagatela!

— Pewnie, że nie bagatela! — odparł silnie zirytowany profesor.

— To nawet jest dosyć interesujące — ciągnął dalej Wiliam Tharps, ożywiając się cośkolwiek.

Powstał z krzesła i ujął przyjacielsko starego Niemca pod ramię.

— Niech mnie pan zaprowadzi do swojego pokoju, tak będzie najlepiej.

Profesor tego właśnie życzył sobie gorąco. Owijając się szczelnie w obszerny swój szlafrok, szybkim ruchem skierował się ku drzwiom. Wyszliśmy wszyscy z gabinetu i podążyliśmy za nimi.

— Stało się nieszczęście, podczas kiedy na dole w salonie omawialiśmy wypadek dzisiejszy — objaśniał dalej pan Schoetten w rodzinnym swoim języku.

— Niech pan mówi tak, abyśmy wszyscy zrozumieli — zwrócił mu uwagę Wiliam Tharps. — Jesteśmy ciekawi, jak się to stać mogło. Czy dawno opuścił pan swój pokój?

— W chwili, kiedy przyjechali urzędnicy policyi — odpowiedział profesor — i przez cały czas ich bytności bawiłem na dole. Przed kilkoma minutami dopiero udałem się do siebie i natychmiast zauważyłem brak moich papierów! Ah! Mój Boże! Co się to dziś dzieje w tym pensyonacie! Rano morderstwo, teraz kradzież! To nie do zniesienia!

— Mówił pan o walizie — przerwał wybuch jego gniewu Wiliam Tharps.

— Tak! Mówiłem o walizie. Wzięli mi ją także, ale na szczęście była pusta. Złodziej się złapie, jak ją otworzy i przekona się, że w niej nic niema.

— Jakto? Waliza była próżna?

— Tak!

— I zabrano panu pustą walizę?!

— Przecież mówię panu. Zabrali mi ją.

— Ale może przedtem zawierała coś cennego?

— Manuskrypta. — odparł sucho profesor.

— No! no! — pomrukiwał Wiliam Tharps, kręcąc głową.

Doszliśmy już do drugiego piętra. Pokój profesora Schoetten sąsiadował z pokojem pana d'Orwalda

Dostrzegłem, jak przechodząc obok jego drzwi, pani Donay zbladła silnie i przerażonemi oczyma wpatrzyła się w nie.

Wiliam Tharps pierwszy wszedł do mieszkania profesora i rozejrzał się bystro wokoło.

— Gdzie znajdowały się pana papiery? — zapytał.

— Tutaj! — odpowiedział pan Schoetten, wskazując na niewielki stolik stojący przy oknie.

Poczem uniósł czarny surdut przerzucony przez poręcz fotelu.

— I tutaj także.

— A waliza?

— Waliza stała tam w kącie za łóżkiem.

Detektyw przyklęknął na podłodze i chwilę badał ją przez szkło powiększające.

— To była bardzo mała waliza — objaśnił po chwili prostując się i ręką wskazując wymiary.

— Taka była właśnie — potwierdził ze zdziwieniem profesor.

— Okna były zamknięte?

— Tak!

— A drzwi?

— Miałem klucz od drzwi przy sobie.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy detektywa.

— Naprawdę? Miał pan klucz od drzwi przy sobie? — pytał z niedowierzaniem.

— No, przecież już panu mówiłem — odparł obrażony tem naleganiem profesor.

Uśmiechnąłem się mimowoli, dostrzegłszy jego chmurne i gniewne spojrzenie.

Pan Schoetten jednak zwrócił się do służby nadeszłej i do gości pani Donay, prosząc o potwierdzenie swoich słów.

Wszyscy jednogłośnie przytaknęli, że profesor miał klucz w kieszeni, kiedy szedł na górę. Panie Bertonneau i pan Wilson, mieszkający na tem samem piętrze, towarzyszyli mu aż do drzwi jego mieszkania. Henryk, służący, również znajdował się wówczas na korytarzu. Widzieli więc dokładnie jak profesor wyjął klucz z kieszeni, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. I zanim jeszcze drzwi się za nim zamknęły, zaalarmowały ich jego wołania i krzyki.

Obydwaj mężczyźni natychmiast wbiegli do mieszkania, podczas kiedy panie Bertonneau w popłochu uciekły przez korytarz.

— I co pan zauważył, wbiegłszy do pokoju pana Schoetten? — zapytał Wiliam Tharps pana Wilsona.

— Profesor stał na środku pokoju, jak zahypnotyzowany i palcem wskazywał wysuniętą szufladę stolika powtarzając bez przerwy:

— Złodzieje! złodzieje tu byli!... zrabowali mnie!

— Okna były podobno zamknięte? — indagował dalej Wiliam Tharps — szczelnie zamknięte?

— Sam się o tem osobiście przekonałem — odparł, uśmiechając się, pan Wilson.

W obecności Anglika i służącego profesor gorączkowym ruchem podszedł do stolika i nerwowo zaczął przetrząsać szufladę.

— Nędznicy! — zawołał z oburzeniem — Bandyci! Ukradli mi także moje plany!

Poczem podbiegł do swojego surduta, leżącego na fotelu i przeszukał wszystkie kieszenie, również bezskutecznie.

Wówczas to oburzony do najwyższego stopnia zeszedł na dół w zamiarze poszukania detektywa i poinformowania go o dokonanej śmiałej kradzieży w swojem mieszkaniu.

Wiliam Tharps słuchał z zajęciem tych zeznań i machinalnie zacierał ręce z wyrazem wielkiego zadowolenia. Niezwykły blask ożywiał jego chudą twarz i zdawało się, że przypadek, który spotkał profesora, nie budził w nim żadnej przykrości i niepokoju.

Po chwili zwrócił się do pana Schoetten i zapytał żartobliwie:

— Więc twierdzi pan, że ukradziono mu plany?

Profesor skinął głową i bezradnie ręce rozłożył, nie mogąc z oburzenia słowa przemówić.

— Ważne plany? — nalegał dalej detektyw.

— Ach! panie — wybuchnął wkońcu profesor — Plany, notatki, rysunki, zeszyty, wszystkie owoce mojej ciężkiej pracy i długoletnich badań!

Wiliam Tharps bez śladu współczucia przyglądał się bacznie rozgniewanemu staruszkowi.

— I papiery osobiste pana również zginęły, nieprawdaż? Paszporty, świadectwa, bilety wizytowe?

— Wszystko! wszystko!

Profesor Schoetten trząsł się z oburzenia i coraz energiczniej wymachiwał rękami.

— Nikczemni! podli! Skradli mi dziesięć lat życia! Tyle pracy, tyle trudów!

(Ciąg dalszy nastąpi)



Włoska ofenzywa; Na posterunku w zniszczonej Gorycyi.

Włoska ofenzywa.

Równocześnie ze wzmożoną ofenzywą na wschodnim froncie rozpoczęli też i Włosi na całej linii gwałtowne ataki, chcąc w ten sposób przyjść w pomoc swym rosyjskim sprzymierzeńcom, mogącym tylko bardzo powoli i z nadzwyczajnemi stratami posuwać się ku zachodowi.

Naczelne kierownictwo armii było jednak przygotowane na podobną niespodziankę, Włosi spotkali się z obroną, która ich bardzo dużo kosztowała. Cały północny kraniec płaskowyża Monte San Michele, pozycya na goryckim przyczółku mostowym i odcinek nad Soczą aż po Tolmin przez dni kilka stały pod nieprzerwanem działaniem gwałtownego włoskiego ognia z dział najrozmaitszego kalibru. Po każdej takiej gwałtownej kanonadzie następował atak włoskiej piechoty, pociągający za sobą kolosalne straty w ludziach. Opór wojsk austro-węgierskich był nad wyraz mężny; choć Włosi atakowali w przeważających siłach, usiłowania ich nie odnosiły skutku. Jeżeli gdzie udało im się obsadzić część rowów naszych, wypierano ich w kontrataku.

Ponieważ jednak nasza armia, broniąca goryckiego przyczółka, a pozostająca w ciągłym ogniu od dłuższego już czasu, narażoną była *eo ipso* na ogromne straty, naczelne dowództwo, nie chcąc do tego dopuścić, cofnęło ze względów strategicznych przednie straże na lewy brzeg Soczy, czego następstwem było ewakuowanie Gorycyi, do której ruin wkroczyły z tryumfem przednie straże włoskie.

Nikt ich tu nie powitał, jako oswobodzicieli, oczom ich przedstawił się natomiast straszny widok własnej „oswobodzicielskiej" działalności; ruiny, gruzy i zgliszcza... Prasa włoska, korzystająca ze sposobności, uderzyła przecież w ton tryumfalny i rozwodzi się nad doniosłością tego zdarzenia, w gruncie rzeczy nie mającego żadnego znaczenia i dawno już przewidzianego przez nasze sfery kierujące.

Jenerał Hindenburg we Lwowie.

Od początku czerwca usiłują Rosyanie przełamać front wołyńsko-galicyjski. Teren strategiczny dzieli się dość wyraźnie na dwa odcinki, wołyński i galicyjski. — Na Wołyniu dowodzi generał Brusiłow. Ofenzywę swoją prowadzi Brusiłow bez żadnego względu na życie swych żołnierzy. Straty w materyale ludzkim są przerażające. Nawet niewyczerpany rzekomo materyał ludzki w Rosyi nie potrafi wkońcu wypełniać luk, jakie powstały przy atakach armii wołyńskiej na pozycye sprzymierzonych.

W Galicyi prowadzą ofenzywę jenerałowie Szczerbatow i Leszyckij, pierwszy na północy przeciw pozycyom jenerała Bothmera, drugi na południu przeciw grupie arcyksięcia Karola. Operacye Szczerbatowa rozbiły się dotychczas o żelazny mur bawarskiego wojska, tu tylko i ówdzie udało im się zdobyć chwilowe sukcesy. — Posuwanie się Leszyckiego następuje również bardzo powoli, napotykając wszędzie na bohaterski opór armii sprzymierzonych. W Karpatach wojska austryackie utrzymały się na linii głównego grzbietu, a według ostatnich ostatnich sprawozdań przeszły nawet do pomyślnej ofenzywy.

Ze względu na sytuacyę władze wojskowe obu armii dokonały nowego podziału naczelnego dowództwa na froncie wschodnim, który obecnie całkowicie podlega Hindenburgowi. Jego rozkazom podlegają armie sprzymierzone od Rygi i Dyneburga, aż do lewego skrzydła armii jenerała Bothmera.

Ten podział komendy miał na celu ujednostajnienie akcyi frontu wschodniego

W ubiegłym tygodniu, objeżdżając odcinki frontu, podlegającego jego dowództwu, bawił też jenerał Hindenburg we Lwowie, przyjmowany tutaj z należnymi wojskowymi honorami. Na dworcu kolejowym ustawiono kompanię honorową z muzyką. — Zebrali się też licznie przedstawiciele wojskowości pod przewodnictwem dowódcy drugiej armii jenerała pułkownika Böhm-Ermollego.



Generał Hindenburg we Lwowie: 1. Generał Hindenburg, 2 generał Böhm-Ermolli, 3. generał Bardolf, 4. generał Kiml, komendant miasta Lwowa, 5. generał Ludendorf, szef sztabu marszałka Hindenburga.

Kronika tygodniowa.

W tych ciężkich czasach, jakie teraz przeżywamy, nie brak nam przecież i rozmaitych rozrywek. Kraków i jego mieszkańcy mają to do siebie, iż lada głupstwo potrafi ich zająć, ba nawet wywołać sensacyę, połączoną ze zbiegowiskiem, deptaniem sobie nagniotków, wezwaniami do rozejścia się (w połączeniu dla lepszego zaakcentowania rozkazu z kilku lekkimi kułakami) i t. d. Na tem wychodzą najlepiej kieszonkowi operatorzy, którzy powrócili już w komplecie z ewakuacyi, otwiera się bowiem przed nimi szerokie pole działalności.

Wystarczy przystanąć i zacząć się wpatrywać w jeden punkt, zaraz obok ciebie zgromadzi się kupka ciekawych, chcących się koniecznie dowiedzieć, co cię tak zajęło. Filozof powiedział, że słaba płeć jest z natury ciekawą, ja dodaję, że i silniejsza nie ustępuje jej w niczem.

Zdarzyło się raz, że pewien figlarz stanął na ulicy i patrzy. Za chwilkę ma już towarzysza, zwraca się więc do niego i odzywa:

— Uważa pan łaskawy?

— Co takiego? — pyta tenże z wzrastającą ciągle ciekawością.

— Jak się obraca to koło u przejeżdżającej dorożki?

— Które?...

— No... tylne po lewej stronie! Koła nigdy nie obracają się w ten sposób... To ciekawe!

To rzekłszy, odwrócił się i odszedł, a tamten stał, patrzył i medytował, a tymczasem koło niego już się zaczęła gromadzić kupka innych ciekawców.

Wspominam o tem dlatego, ponieważ Kraków ma obecnie taką sensacyę, jakiej dotąd jeszcze nad Wisłą nie było, mianowicie zdejmowanie różnych scen dla kinematografu. Artyści, grający poszczególne role, operator i reżyser są w ciągłym kłopocie, nie mogąc sobie dać rady z ciekawą publicznością, która nie tylko chciałaby wszystko najdokładniej widzieć, ale nie miałaby także nic przeciw temu, gdyby i ją uwieczniono na filmie. Nie pomogą prośby, na nic się nie zdają i groźby, by mieć spokój trzebaby robić zdjęcia chyba w nocy, gdy przeciętny Krakowianin spoczywa w objęciach Morfeusza. Przedsiębiorstwo, zajęte sporządzaniem filmu, przemawia też co kilka dni w gazetach do ciekawej publiczności, prosząc ją o wyrozumiałość, ale to osiąga skutek wprost przeciwny, gapiów gromadzi się coraz więcej. Jedni chcą widzieć przygotowanie zdjęć, drudzy kontentują się obserwowaniem ciekawych, gromada rośnie, ruch się tamuje, wreszcie władza bezpieczeństwa musi wkroczyć i rozpocząć urzędowanie od stereotypowego: „Panowie! Proszę się rozejść!...“ Ciekawy jestem, czy też przypadkowo na którym z obrazków nie ujrzymy na przykład obok obywateli z czasów Kościuszkowskich sylwetki współczesnego konnego policyanta. Byłaby to wspaniała atrakcya.

Zupełnie tak samo się dzieje, jeśli podczas jakiegoś obchodu lub uroczystości powiedzą, że w tem lub owem miejscu gromadzić się nie wolno. Jestem przekonany, że właśnie tam ścisk będzie największy. Także w kościołach przy samych drzwiach gniotą się ludziska, niczem śledzie w beczce, środek jest zupełnie wolny. Ale trudno, każdy chce być jak najbliżej wyjścia, a dla wszystkich tam miejsca nie starczy.

Nie inaczej było i podczas powrotu z Niepołomic z uroczystości rowów strzeleckich. Wszyscy zgromadzeni, a było ich sporo, chcieli koniecznie jechać w jednym wagonie i to było powodem katastrofy. Jakaś jejmość, czy panienka, nie mogąc znaleźć w ścisku miejsca, spadła z platformy. Dalsze wagony były przeważnie próżne, znajdujące się zaś bezpośrednio za lokomotywą natomiast przepełnione, gdyż każdy spieszył się do domu, wiadomo zaś, że ostatnie wozy na samym końcu wtaczają się na stacyę.

Nie tylko jednak w podobnych wypadkach publiczność zasługuje na napomnienie (które jednakowoż jest zwykle głosem wołającego na pustyni), sposobności, by okazać swój upór i swoje zacofanie, jakiegoby się nie powstydziła najbardziej zapadła prowincya, znajdzie zawsze tysiące.

Mam tu przedewszystkiem na myśli zachowanie się niektórych pań na targu. Teraz trudno o artykuły spożywcze, a jeść się musi, drożyzna staje się coraz większą, ale kto temu winien? Nasze gosposie, gdyż one same podbijają ceny. Magistrat ogłosił taryfę maksymalną na wszystko, co można dostać i czego nie można, ale kto się dziś tej taryfy trzyma? Niedawno jajka były po ośm centów za sztukę, jedna ze znajomych pań narzekała, że zapłaciła po dziesięć.

— Trzeba było zawezwać policyę i niesumienną handlarkę wpakować do ula! — ja jej na to.

A ona:

— Ależ! Ona chciała brać po ośm, ale ja się bałam, że mnie inne panie podkupią, a jaj było mało, więc jej sama ofiarowałam po dziewięć. Gdy to usłyszały sąsiadki i one chciały dać po dziewięć, więc ja sama wołam: dziesięć!... Byłabym podwyższyła jeszcze, bo u nas jaj wychodzi dużo. Mój mąż lubi omlecik z konfiturkami, ale to nie z łakomstwa. Lekarz kazał się mu intenzywnie odżywiać...

Otóż tego rodzaju licytacye środków spożywczych *in plus* odbywają się z zasady na każdym targu, a na to nie pomogą nawoływanie prasy, zakazy władzy, przemawianie do zdrowego rozsądku, że jest to szkodzenie ogólnej sprawie, gdyż w ten sposób wytwarza się właśnie ową lichwę żywnościową, na którą tak narzekamy. Bo chyba przyzna mi każdy, że nazwałby głupią taką babę ze wsi, która sprzedaje jaja po ośm centów, jak każe taryfa, gdy jej inni ofiarują po dziesięć, albo i więcej. Moja Weronisia robi tak samo. Gdym ją strofował słowami:

— Kobieto! Miejże rozum!

— Nie mam! — odparła — I mieć nie chcę! Jak nie zapłacę więcej, niż inne panie, nic nie dostanę. Z czego zaś ugotuję obiad?... Potem zrobisz awanturę, że cię morzę głodem i opiszesz mnie w gazetach!...

Gdyby nasze panie chciały być solidarne i powiedziały sobie, że ani jedna nie zapłaci bodaj halerza więcej, niż wskazuje taryfa, wydana przez władzę, a władza pochodzi od Boga, więc należy jej być posłusznym, stosunki musiałyby się poprawić. Ale o takiej zgodności ani mowy niema!

Choć to do rzeczy nie należy, muszę tutaj wspomnieć także i o pladze przekupek. Istnieje wprawdzie jakieś tam rozporządzenie, że na targu nie wolno przekupniom nic kupować, gdzieś tam do godziny dziesiątej, czy jedenastej, ale co oni sobie robią z tego! Obwieszczenie to jest przybite wysoko, komisarz targowy jest daleko, zresztą pocóż oni mają się fatygować na rynek, skoro nasi włościanie, idąc do miasta, muszą najpierw przebyć przedmieścia i boczne ulice. Tam właśnie odbywa się na nich polowanie, a przekupnie potrafią, zwłaszcza wiejskim babom, tak głowę zawrócić, że taka kobiecina, sprzedając n. p. kopę jaj po cenie taniej na sztuce, niż otrzymałaby na targu, wierzy, że zrobiła dobry interes, gdyż nie musi płacić dwóch, czy trzech centów placowego. Magistrat i policya czuwać powinny, aby po przedmieściach nie wykupywano artykułów spożywczych; lecz aby się one dostawały na Rynek, zarządzeń chyba jeszcze nie wydano, jeśli zaś są, nikt się o nie nie troszczy, zwłaszcza, że każdy boi się energicznej przekupki, która odznacza się taką wymową, że aż uszy puchną, gdy się jej słucha. Wyobrażam sobie, jak grzecznie musiałby Ekscellencya Leo przyjąć deputacyę tych pań, gdyby doń przybyły z prośbą, aby zajął się ich dolą. Ze strachu więc daje się przekupkom spokój, one wiedzą o tem, wykupują też, co się da, a potem drą skórę, jak Bóg przykazał. — Gdy się zgniewa na kogo taka pani przekupka, niczego u niej nie dostanie, a nieraz przecież na gwałt trzeba skoczyć po to lub owo do sklepiku.

— Potrzeba wam? — mówi jejmość sklepikarka, biorąc się pod boki — Trafiliście do mnie?... Idźcie sobie teraz do taryfy maksymalnej, niech wam sprzeda!

A w samej rzeczy trudno jeść samą taryfę, surową lub choćby nawet gotowaną... Trzeba więc cierpieć, gdyż przekupkom nie damy rady, chybaby wieśniaczki, omijając przedmieścia, przybywały z artykułami spożywczymi wprost na targ, do czego możnaby, ale dopiero po wojnie, użyć aeroplanów handlowych lub takichże łodzi podwodnych.

Swoją drogą, ile razy dziś zastanawiam się poważniej nad kwestyą żołądkową, tyle razy żal mi serdecznie naszych pań gospodyń, więc i mojej jadłodawczyni, przezacnej Weroniki, o której mogę z ręku na sercu powiedzieć, że takiej kucharki, jak ona, niema drugiej, jak Polska długa i szeroka. — Biedaczki, ile sobie muszą nałamać głowy, co gotować i z czego?... Raz wolno to, drugi raz nie wolno tego, jeśli nie chce zgnić w kryminale pod zarzutem zdrady stanu. A i w domu musi się ściśle przestrzegać przepisów, traktujących o poście, może się bowiem łatwo zdarzyć, że służąca, jeśli się na cię pogniewa, zadenuncyuje potem u władzy, że w piątek jadłeś mięso. Będziesz się tłumaczyć, że to kłamstwo, pan fizyk przeprowadzi na tobie sekcyę i zbada zawartość żołądkową, a biada ci, jeśliś władzę w błąd wprowadził. Wprost ze stołu sekcyjnego odesłany będziesz do furdygarni i tam skończysz marny żywot, splugawiony stwierdzonem urzędowo obżarstwem.

Czasem jest się w kłopocie, przepisy bowiem co do zachowania postu, wydane przez władze świeckie i duchowne, nieraz są ze sobą sprzeczne i człek nie wie, czego się trzymać, z jednej strony nie chcąc się narażać na kary doczesne, z drugiej zaś na wieczne potępienie. I tak na przykład list pasterski, wydany przez biskupa krakowskiego, powiada, że w piątki i soboty wolno jeść na smalcu, rozporządzenie namiestnictwa zaś mówi wyraźnie, że w sobotę nie wolno nawet w usta wziąć żadnego tłuszczu nie tylko więc smalcu, ale nawet waseliny. Ciekawe, czy ten zakaz odnosi się i do oleju rycynowego. Wszak to także jest tłuszcz! Byłoby wskazanem, aby w soboty nie pozwolono wogóle tłustym ludziom pokazywać się na ulicach.

A propos tych spraw aprowizacyjnych muszę dodać, że dzięki im właśnie biblioteka moja zmniejszyła się o jedno bardzo cenne dzieło. Był niem podręcznik kucharski, wydany ongiś przez ś. p. Lucynę Ćwierciakiewiczową, a nieraz przezemnie wspominany. Karmił nas długie lata, ostatecznie doczekał się tego, żem go musiał wyrzucić za okno, by nie zaszkodził mej Weronisi. Ile razy wzięła go teraz do rąk, dostawała ataków spazmatycznego śmiechu, raz omal że nie wypluła ze siebie ostatniego tchnienia.

— Kobieto! Co tobie?... — wołam z rozpaczą — Czyś oszalała? Czy cię szatan opętał?

A ona w odpowiedzi pokazuje mi książkę kucharską i znów śmiać się poczyna.

Zgłupiałem, wiem przecież, że przepisów kulinarnych humorystycznie się nie układa, ale wreszcie musiałem jej przyznać racyę i sam się śmiać zacząłem, aż mnie boki bolały. Wyczytałem tam bowiem przepis na „tanią“ legguminę, do sporządzenia której potrzeba tylko dwanaście jaj, pół funta świeżego masła, dwa deka wanilii i coś tam jeszcze, czego dziś razem i za sto koron nie dostanie. Jedna taka leguminka w tygodniu, a można się dostać pod kuratelę jako marnotrawca niepoprawny. A takich przepisów jest więcej, wszystkie tanie! Dziś nawet kamieniecznik nie może pozwolić sobie na skromny omlecik z kukurudzianej mąki (do przyprawy którego potrzeba tylko sześciu jajek!), wobec czego byłoby wskazanem, aby władze odnośne wydały zakaz jedzenia wogóle, natomiast, aby postarały się, by w jakiś inny sposób można było zaspokoić swój głód i pragnienie. Co, gdyby nastąpiło, kwestya aprowizacyi byłaby definitywnie załatwioną.

Aż lżej memu żołądkowi się zrobiło, żem się mógł wywnętrzyć w sprawie tej, która tak dolega i tak boli każdego z nas, bez względu na to, czy on żonaty, czy kawaler. Czy się człowiek stołuje we własnym domu, czy też w publicznej jadłodajni, wszędzie odczuwa braki na każdym kroku, a już o tem, by sobie podjadł porządnie, ani mowy niema! — Wyobrażą zaś sobie chyba Szanowni Czytelnicy, jakie ja męki przechodzę, iście Tantalowe, pisząc tak apetyczną kronikę, w wielkiej części aprowizacyi poświęconą, przed obiadem! Ja po obiedzie jestem z zasady głodny, a cóż dopiero przed, gdy się człowiek cieszy dopiero wspomnieniem tego, co ma być, choć znów nie lubię, jeśli się coś „przypomina“ po obiedzie... Wobec tego, aby ani sobie, ani innym nie psuć apetytu, dam spokój owej neutralnej mące rumuńskiej, na której wyszedł Kraków tak dobrze, jak ongiś pan Zabłocki na mydle. W mące tej było siano, worki, kamienie i bocianie gniazdo, na ogół artykuły dość niestrawne. Siano miało oznaczać głęboką mądrość, że mąkę stamtąd sprowadzamy, worek, iż należy przygotować pokutną szatę i żałować za grzechy, kamień wzywał nas, byśmy stali twardo i nie poddawali się nieszczęściu, czego zaś symbolem miałoby być owo gniazdo, tego ani sam domyśleć się nie mogę, ani nikt mi tego dotąd wytłumaczyć nie potrafił. Być może, że stoi to w związku z przyszłą odbudową kraju, gdyż bociany lubią zakładać swe gniazda na domach i w bezpośredniem ich sąsiedztwie, nie jest też wykluczonem, że może to być alluzyą, głęboko pomyślaną, byśmy i w czasie wojny nie zapominali o przyszłem pokoleniu. Niechaj sobie zresztą interpretuje to każdy, jak mu się podoba!

I tak, ani spostrzegłem, że kronika już powinna być skończoną, gdyż miejsca nie stanie na poruszenie innych spraw, zwłaszcza zaś polityki. Jest ona nieco dłuższą, niż w ubiegłych tygodniach, ale to tylko na podstawie praw fizyki, które powiadają, iż w gorącu wszelkie ciała się rozszerzają, w zimnie zaś kurczą. A od kilku dni mamy znów upał, choć nie jest bynajmniej wykluczonem, że do czwartku aura się zmieni.

Zagadki do nagrody.

Przekładanka.
Ułożył Ks. Kibicki, Kraków.

Litery w ten sposób poprzestawiać, aby powstały wyrazy o zupełnie innem znaczeniu. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, utworzy pseudonim polskiego powieściopisarza (dwa wyrazy).

Barka
konar
balet
nerka
Ceres
kawał
tarok
trawa
cyple
kobra
biuro
słoma.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Iskra zapałki znów obejmuje zupełnie drwa drynd Jonii.

Okienko.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

e e e e g
g i i
k l n n o
o r r
s s ś y y

Znaczenie wyrazów: 1. Opad 2 Rzeka. 3 Małpa.

Szarada.
Ułożył S K. Gerzaldi, Kraków.

Pierwsze litera, *drugie* zaś znajdziecie
Jako spółgłoskę w greckim alfabecie,
O *pierwsze-drugie* zapytaj się gracza,
Który kart barwę tem słowem oznacza,
Trzecie zaledwie z trzech liter powstaje,
Lecz, gdy skuteczne, chorym zdrowie daje;
Pierwszych i trzecich, niezdolnych do pracy,
Wielu, a są to przeważnie biedacy.
Całość nam imię chłopczyka utworzy,
Często też piekarz do chleba ją włoży,
Aby zapachem przyprawić pieczywo.
Zgadnijcie tedy, a prędzej, a żywo!

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Srodkowy rząd pionowy i ostatni poziomy utworzy nazwiska dwu rzeczników zniszczonej Polski

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
□ □ □ □ □ □ □

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Owad 3. Część ubioru kapłańskiego 4. Jenerał pruski z czasów wojen napoleońskich. 5 Drzewo. 6 Gatunek psa 7 Spółgłoska 8 Znane zwierzęta domowe 9 Młody byczek. 10 Szukany wyraz.

Równanie.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykaznje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiej powieściopisarski, w drugiem tytuł jej utworu.

$$\frac{m}{6}+\frac{n}{5}+\frac{o}{4}=x$$

$$\frac{p}{2}+\frac{r}{4}+\frac{s}{6}=y.$$

Znaczenie wyrazów: m) Kwiatek polny. n) Jedna ze stolic europejskich. o) Miecz króla Artura p) Powieść Hajoty. r) Chrząszcz. s) Materyał wybuchowy.

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, utworzą nazwisko i pierwszą literę imienia znakomitego współczesnego polskiego powieściopisarza.

□ — — — — — — —
— □ — — — — — —
— — □ — — — — —
— — — □ — — — —
— — — — □ — — —
— — — — — □ — —
— — — — — — □ —
— — — — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Filozof francuski 2 Broń 3 Rodzaj igły 4 Małpa 5. Ryba morska. 6 Kwiat ogrodowy. 7. Gatunek śliwek 8 Ptak.

Kwadrat magiczny.
Ułożył J. Grossinger, Dobromil.

Podane litery tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
b k k k
l l l r
s s u u

Znaczenie wyrazów: 1 Miejscowość w Galicyi. 2. Gory w Rosyi 3 Wielki pokój 4 Kapelusz

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

IWON KRZEPŻ

IWON H. LOK

ROMAN TITER

I. S. FLAK.

PIOTR A. NOWAK
KĘTY.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości“ na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 32.

Szarada: Liczykrupa

Trójkąt magiczny:

W e s p a z y a n K o c h o w s k i
E m a n c y p a c y a k o b i e t
G e w e r M a c i e j o w s k i
P r ą d e l e k t r y c z n y
A l o j z y F e l i ń s k i
Z a w i s z a C z a r n y
Y a r m o u t h Y o r k
A g n o s t y c y z m
N i b e l u n g e n
K a r a k o r u m
O r t o k l a z
C y n o b e r
H o r a c y
O r a w a
W i ą z
S n e
K u
I

Łamigłówka literacka:

Ludzie podziemni.
U progu nowego życia.
Dzieje grzechu.
W Malstromie.
Ijola
Kuszenie szatana
Kara.
O żołnierzu tułaczu
Na srebrnym globie
Doktor Pascal.
Rajski ptak
A gdy w głąb duszy wnikniemy.
Tabu.
One
We krwi.
Idealiści.
Cienie.
Zwycięzca.

Zadanie do przestawienia: I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu.

Okienko:

P u d d i n g
u w o
d u n
d w u r z ą d
i z o
n ą l
g o n d o l a

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Zadanie do przestawienia: Gdzie kucharek sześć, tam żołnierzy jeszcze więcej

Bilety wizytowe: Radca namiestnictwa. Lekarz salinarny. Podmajstrzy ciesielski Odpowiedzialny redaktor. Pedel uniwersytetu.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków. D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga. S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów. S. Bednarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń, L Kozubski Wiedeń, H Starzewska Tarnów, M Ullmanówna Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Krzyżanowski Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Co się komu należy.

Pisarz: Jak mam zakończyć list do pana X., „z głębokim szacunkiem“, czy inaczej?
Pryncypał: Napisz pan tylko „z poważaniem“. To przecież znany baciarz!

Oszczędna.

— Co? Ty łajdaczko pozwoliłaś się pocałować ekspresowi? — woła oburzona pani Maciejowa na swą córkę.

— Ależ, mamusiu, on sobie za to nie kazał nic zapłacić! — tłumaczy córka, która wie, jaką wagę mama przykłada do pieniędzy.

Przezorna.

— A pani na co kupiła tyle czarnej krepy? Przecież, Boże broń, nie umarł nikt w rodzinie!

— Tak, moja pani! Trafiło mi się tanio na wysprzedaży, a pani wie przecież, że mój mąż ciągle się rozbija automobilem. Trzeba być zawsze przygotowaną!..

Po konsultacyi.

Lekarz: Jak dawno jest pani wdową?
Pacyentka: Od śmierci mego nieboszczyka męża!

Pan całą gębą.

Do pokoju pana radcy cesarskiego, dajmy na to Pomeranza, wpada przerażona służąca.

— Proszę pana radcy! — woła przerażona — Mały Icunio połknął w tej chwili przy zabawie złotą dwudziestokoronówkę!

— Nu! — odpowiada na to pan radca — Nic nie szkodzi! Ja przez to nie zubożeję!

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 8 (dom własny) — Telefon Nr. 331.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Wełny, Włóczki do robót drutowych, Wyroby z wełny, to jest Pończochy, Rękawiczki, Cwetery i t. p.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenuiki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Wojenny zegarek i budzik K. 6. Branzoletka z zegarkiem K 12.



Wojenny zegarek z podwójnym relifem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczwórnym relifem „Viribus unitis 1914—1916“ w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 6·—, I. jakości kor. 8—. Radiowy K 10·—. Prawdziwy srebrny K 15. Budzik kieszonkowy K 20·—. Radiowy K 28·—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2·— osobno. Branzoletka z zegarkiem z skórzanymi rzemykami duży format K 6.—, radiowy K 10·—, branzoletka z zegarkiem mały format według rysunku K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— więcej. Szkło ochronne według rysunku K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 6·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny cennik fabryczny darmo.



Pewny skutek. Tysięczne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający**. Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gl. 37. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem“ ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka. Kolejowa. Kołomyja: apteka Łopotka, ul. Jagiellońska. Tarnów: droguerya Bracha. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anzkerdrog.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór bižuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

BAZAR KRAJOWY

KRAKÓW ulica Szewska 22

LWÓW: ul. Akademicka 10

poleca najtaniej wyrobu krajowego:

Wyroby koszykarskie, majolikę, rzeźby zakopiańskie, galanteryę, portfele, portmonetki, torby z Miejsca Piastowego, kufry, pudła podróżne i t. p. 2

Szwajcarskie kozy sańskie

świeżo dojne, białe, duże okazy bez rogów, dające dziennie aż do 5 litrów orzechowo-słodkiego wybornego mleka i także tegoroczne młode, ma w ilości kilku sztuk do sprzedania: **Zakład Zoologiczny „Ornis“**, założony w r. 1897, w Krakowie (Hotel Saski). — Różne rasowe psy, drób, króliki, harceńskie kanarki i jaja do wylęgu są po przystępnych cenach do sprzedania. Przy zapytaniach markę na odpowiedź.

5 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła: **Pierwsza fabryka zegarków**

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K. 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masiwne srebrne zegarki „Roskopf“ K 19·—, 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Rowery Ryval



są przecież najlepsze!

K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, Pompa potaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.

Specyalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Jedyny w Przemyślu który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ JAN SMYK

Przeprowadza ekshumacye i transport zwłok z każdej miejscowości. Wyjaśnień udziela się chętnie.

Przemyśl, Rynek L. 16

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipiński. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego